

CRACOVIA

LEOPOLIS

KWARTALNIK

ISSN 1234-8600



1

(21) 2000

O Stanisławowie, jego historii dawnej i niedawnej ♦
O ludziach Stanisławowa i Stryja ♦ O farze i o wojsku
♦ Z Pokucia i Huculszczyzny ♦ Anegdoty ♦ Poezja
i proza ♦ Słownik Ziemi Stanisławowskiej ♦ Książki
♦ Kronika ♦ Listy

GOŚCIMY NA ZIEMI STANISŁAWOWSKIEJ

W obecnej dobie ukazuje się – tu w RP, za wschodnim kordonem, i w Londynie – parędziesiąt czasopism poświęconych Małopolsce Wschodniej. Dotyczą one albo wyłącznie tamtej Ziemi, albo tylko w części – wśród innych regionów Ziemi Wschodnich. Pośród tych pierwszych, jedno – tak jak nasz kwartalnik – zajmują się całym obszarem wschodniomałopolskim ze Lwowem na czele, albo lokalnymi *małymi ojczyznami*, od ziem i miast poczynając, na rodzinnych wioskach kończąc. Czasopiśma te niedawno zebrał A. Chlipalski, a skomentował pracownik naukowy Akademii Pedagogicznej w Krakowie, W. Kolasa. Oba opracowania opublikowało Wydawnictwo Naukowe WSP w Krakowie (1999) w kolejnym, IV tomie materiałów z cyklu konferencji naukowych, pod wspólnym tytułem: *Kraków-Lwów. Książki, czasopiśma, biblioteki XIX i XX wieku* (4. konferencja w XI 1997).

Tak się złożyło, że nie mają własnego czasopiśma stanisławowianie. A jest ich wszak sporo – duże i aktywne środowiska z Grodu Rewery działają we Wrocławiu, Warszawie, Krakowie. Wiele czynią na rzecz Polaków w swoim mieście, a poza tym pisują, kompletują zbiory, odwiedzają swoje miasto i malowniczy region.

Brak periodyku stanisławowskiego nie oznacza wcale, że się o tym mieście i ziemi nie pisze. Publikują w różnych pismach sami stanisławowianie, swoje własne pisma mają kołomyjanie (dwa!) i stryjanie (też dwa), tłumaczenie – którzy przecież również do Ziemi Stanisławowskiej przynależą. Jest też półrocznik poświęcony górcom – „Plań”, który najwięcej rozpisuje się o wschodnich Karpatach – Czarnohorze, Gorganach, Huculszczyźnie. To wszystko Ziemia Stanisławowska.

Mają swoje periodyki Tarnopol, Drohobycz, Złoczów i parę innych miast, a ciągle nie ma pisma stanisławowskiego. Postanowiliśmy przeto niniejszy numer „Cracovia-Leopolis” poświęcić właśnie Grodowi Rewery. Przecież na to zasługuje: bronii dzielnie Rzeczypospolitej, Krajowi dał wielu wybitnych ludzi (także Krakowowi: z tamtych stron pochodzili np. kardynałowie Dunajewski i Pużyna). Sam jest piękny i ma wspaniały region z krajobrazami, zabytkami, folklorem i historią. Zwróćmy uwagę, że ziemia stanisławowska należała w Polsce do najbardziej atrakcyjnych turystycznie, głównie dzięki górcom niezwyklej piękności, lasom, rzekom, a także uzdrowiskom, letniskom, ośrodkom sportów zimowych, schroniskom. I pamiętkom historii, kultury, techniki, wytwórczości artystycznej. I owocom ziemi...

Ilę więc polskich ziem mogło konkurować ze stanisławowską? Niewiele.

* * *

Dla pełni obrazu przypomnijmy wcześniejsze publikacje dotyczące Ziemi Stanisławowskiej, które zamieszczaliśmy od samego początku w naszym kwartalniku. Hasła w *słowniku geograficzno-historycznym*: Stanisławów i Kołomyja były w CL 1/95, Pokucie 2/95, Stryj 2/98, Kałusz 4/98. Miejscowości podgórskie omawialiśmy w CL 3-4/95, 3/96, 2/97, 1/99, a samym górcom poświęciliśmy cały *słownik* w CL 3/97. Szlak II Brygady Legionów był w S/98. O tragedii II wojny pisaliśmy w CL 2/96, o Ormianach w 4/97 i 3/98, o wykopaliskach w 3/96. Materiały literackie znalazły się w CL 3/97, 3/98 i 1/99. Były też liczne omówienia, recenzje, relacje, wiadomości – w każdym niemal numerze.

Po co to wyliczamy? Wielu Czytelników pisze wszak, że „Cracovię-Leopolis” czytają od deski do deski, dobrze wiedzą więc, gdzie i co można znaleźć! Ale innym trzeba ułatwić.

A może ten numer CL, odstawiając tylko trochę bogactwo stanisławowskiej problematyki (ileż materiałów musieliśmy odłożyć *ad acta!*), zachęci stanisławowian do powołania – wspólnymi siłami – własnego periodyku? Bodaj raz na rok...

Do siego roku, ostatniego w naszym XX wieku!

Redakcja

FELIETON O POCHODZENIU

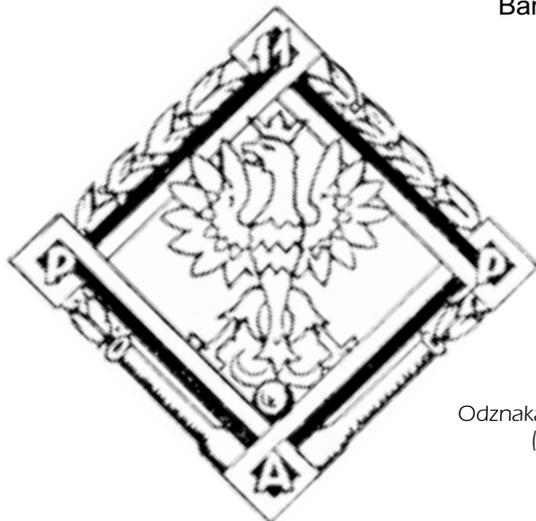
*N*ie pamiętam dobrze, w którym momencie swojego raczej już długiego życia, patrząc wstecz, odkryłam zupełnie nieoczekiwanie, że wszyscy moi najlepsi przyjaciele pochodzą ze wschodu. Za komuny nikt się specjalnie nie afiszował swoim pochodzeniem. Z czasów okupacji wszyscy wynieśliśmy często może nieświadomiony strach przed „wielkim bratem”.

Ale powolutku w bliższych kontaktach okazywało się, że najlepsza koleżanka pochodzi z Baranowicz, a kolega, który „po sąsiedzku” przysiadł się do mojej szkolnej ławki – ze Stanisławowa, nie mówiąc już o całej rodzinie Jaremów, zawsze manifestującej swoje samborskie korzenie, i o Kornelu Filipowiczu, nie zapominającym o swym tarnopolskim rodowodzie. A wielu innych, z którymi bliżej zetknęło mnie życie, okazywało się być a to ze Lwowa, a to z Wilna. Zastanawiając się nad tym, nie umiem sobie wyjaśnić, co skłaniało mnie zawsze, aby wśród wielu ludzi, których znałam, za bliższych sobie uznać tych z kresów. Odbywało się to jakoś mimochodem, bez żadnych wstępnych ceremonii i oświadczeń. Po prostu było nam ze sobą bardziej „swojsko”.

A przecież i „tutaj”, gdzie rzucił nas los, i to „tam”, które byliśmy zmuszeni opuścić, to była ta sama Galicja, niegdyś część cesarstwa austro-węgierskiego. I Tysmienica, z której niegdyś wywędrował mój dziadek, to było takie samo galicyjskie miasteczko jak Limanowa, w której osiadł, mianowany naczelnikiem ck sądu. Nie czuł się tam na pewno obco, ale przywiózł ze sobą legendę tamtych stron, jakiś może odmienny obyczaj, którego widowym znakiem była na bożonarodzeniowym stole kutia. Pomimo tego, że wielokrotnie byłam w „tamtych” okolicach, nigdy nie udało mi się dotrzeć ani do Stanisławowa, ani do Tysmienicy. Wiem, że Tysmienicy takiej, jaką znał mój dziadek, nigdy nie zobaczę. Została zniszczona kompletnie. Przepadły księgi parafialne, w których mogłabym odnaleźć liczne rodzinne pamiątki, przepadły domy, ulice i ludzie, którzy po nich chodzili. Ale przecież nikt nie jest w stanie zniszczyć rzeczy tak zarazem ulotnej i trwałej, jaką jest przenoszona z pokolenia na pokolenie legenda.

Może na koniec wspomnę jeszcze mojego ojca, który większą część życia spędził w Anglii, podróżował dużo po świecie, ale zawsze twierdził, że najwspanialszym kurortem, jaki znał w swoim życiu, to był Truskawiec!

Barbara Czałczyńska



Odnzaka 11 PAL, Stanisławów
(do artykułu na str. 10)

DZIESIĘĆ POWODÓW, ŻEBY KOCHAĆ STANISŁAWÓW

*Drogi Czytelniku, który **znałeś** Stanisławów: zanim przeniesiesz tam swą duszę utęsknioną, przypomnij sobie to, co o tym mieście wiesz, a czego przecież nie pamięta się na co dzień...*

*Drogi Czytelniku, który **nie znałeś** Stanisławowa: zechciej razem z nami pochylić się nad tym wspaniałym, a zapoznanym miastem, podumaj nad nim i nad jego losem...*

1. Miasto mądrze i pięknie zlokalizowane w widłach dwu Bystrzyc: Nadwórniańskiej i Sołotwińskiej, znakomicie rozplanowane, pomyślane jako twierdza ku obronie ziem południowo-wschodnich Rzeczypospolitej, założone około roku 1656 przez Jędrzeja Potockiego, Stanisławowem nazwane od imienia jego poległego pod Wiedniem syna Stanisława.

2. Miasto dynamicznego rozwoju, choć najmłodsze ze wszystkich historycznych miast Polski – przecież wyrosło szybko na drugi po Lwowie ważny ośrodek kultury i polskiego życia narodowego na ziemiach południowo-wschodnich; w okresie międzywojennym siedziba dużego terytorialnie województwa.

3. Bohaterskie miasto, zawsze wierne, spłaciło Polsce swą daninę krwi od najazdów tatarsko-tureckich poczynając, na ZWZ i AK w czasie II wojny światowej kończąc. Stąd poszło wiele transportów Polaków na Sybir i do Kazachstanu i nie obyło się bez mordów bezbronnej ludności polskiej. Tu, w Czarnym Lesie, miał miejsce straszliwy pogrom inteligencji, głównie nauczycielstwa polskiego w 1941 roku.

4. Miasto zwane Grodem Dziewicy – od cudownego Wizerunku Najświętszej Matki Bożej Łaskawej z kościoła ormiańskiego – Patronki Stanisławowa.

5. Siedziba zabytkowej Fary, podniesionej do godności kolegiaty w 1669 roku, przy której Potocki założył Akademię, dając początek szkolnictwu, mającemu kulturą promieniować na dzikie Zadnieprze. W Ko-

legiacie Sienkiewicz umieścił scenę pogrzebu Pana Wołodyjowskiego.

6. Tygiel narodowości, wyznań i kultur. Żyli tu obok Polaków Rusini-Ukraińcy, Huculi i Bojkowie, Żydzi, Ormianie, Niemcy, wszyscy w przykładowej zgodzie – do czasu, niestety. Mieli swoje kościoły, cerkwie, synagogi oraz szkoły, organizacje i instytucje.

7. Stąd rodem było wielu ludzi zasłużonych dla Polski i polskiej kultury. Tu urodził się w pobliskim Hołoskowie Franciszek Karpiński, twórca pięknych pieśni polskich, oraz inni poeci i pisarze, uczeni, politycy i żołnierze.

8. Młodzież kochano w tym mieście. Oprócz licznych szkół dla wszystkich narodowości, rozwijały się prężne organizacje sportowe i turystyczne, „Sokół” i harcerstwo, drużyny strzeleckie (wizytował je Józef Piłsudski).

9. Stolica wielkiego, pięknego regionu Nadnistrza, Pokucia, Podkarpacia, Huculszczyzny, o rozległych górach i lasach, terenach turystycznych i letniskowych. Kraina folkloru i legend – *gdzie szum Prutu, Czeremoszu*. Niekończące się szlaki wędrowek po górach, schroniska – unicestwione przez ostatnie dziesięciolecie, ale do dziś nazywane przez Huculów *polskie stieżki*.

10. Miasto, które zawsze uznawało Kraków za duchową stolicę Polski. Już przy zakładaniu Akademii stanisławowskiej w XVII wieku, korzystano z sił profesorskich z Uniwersytetu krakowskiego, ale i Stanisławów rewanżował się Krakowowi wybitnymi obywatelami.

Helena Konopkova

Leszek Wierzejski

OD STANISŁAWA POTOCKIEGO DO STANISŁAWA SOSABOWSKIEGO

Wybitni Polacy związani ze Stanisławowem

Ze Stanisławowem, głośną w XVII w. twierdzą kresową, związało swe losy wielu wybitnych Polaków, którzy się w jego murach urodzili, umierali, pracowali lub chodzili do tutejszych szkół.

Ten sławny poczet otwiera **Stanisław Rewera Potocki** (1579–1667), hetman wielki koronny, uczestnik wielu wojen toczonych przez Rzeczpospolitą w XVII w., który powziął myśl zbudowania w widłach obu Bystrzyc, Nadwórniańskiej i Sołotwińskiej, warownego grodu. Sam nie zrealizował swojej myśli, ale *założone przez jego syna Andrzeja, kasztelana krakowskiego i hetmana polnego koronnego, miasto Stanisławów, ku uczczeniu sławnego inicjatora, jego imieniem nazwane zostało.* Często też nazywano je grodem Rewery (*revera* – zaprawdę), od przydomku ojca-założyciela. Musimy pamiętać, że założyciel grodu, Andrzej, gdy nadał mu nazwę Stanisławów, miał też na myśli i swojego najstarszego syna Stanisława, starostę halickiego (ok. 1660–83), który nieśmiertelną okrył się sławą, ginąc w obronie chrześcijaństwa w bitwie pod Wiedniem 12 września 1683 r. Pozostała po nim do dzisiaj piękna tablica pamiątkowa, umieszczona w kolegiacie stanisławowskiej w 200. rocznicę odsieczy wiedeńskiej, a odnowiona w 1933 r.

Obok kolegiaty powstało kolegium jezuickie, na którego miejscu rozwinęło się w XVIII w. [późniejsze] I Gimnazjum Państwowe, a w którego murach kształciło się wielu wybitnych Polaków. Jednym z pierwszych był **Franciszek Karpiński** (1741–1825), poeta Oświecenia, reprezentant sentymentalizmu i sielankowości w poezji polskiej. Urodzony w Hołoskowie na Pokuciu, pobierał nauki w Stanisławowie i we Lwowie, lata następne spędził na dworach magnackich, aby osiąść ostatecznie w majątku Chorowszczyzna na ziemi grodzieńskiej, gdzie zmarł w 1825 r. Jego najbardziej znane utwory to pieśni modlitwne: *Kiedy ranne wstają zo-*

rze... i Wszystkie nasze dzienne sprawy... oraz jedna z najpiękniejszych polskich kolęd *Bóg się rodzi, moc truchleje...* Nazwisko Karpińskiego widnieje obecnie na murze I Gimnazjum – jako jednego ze sławnych uczniów.

Drugim poetą pobierającym nauki w murach Stanisławowa był **Mieczysław Romanowski** (1834–63), urodzony w Żukowie na Pokuciu. Do gimnazjum stanisławowskiego uczęszczał w latach 1847–55, pisząc tu pierwsze wiersze i pierwszy raz angażując się w działalność patriotyczną. Pod koniec swego krótkiego życia napisał wiersz o Stanisławowie z okazji obchodów 200. rocznicy jego założenia, pt. *Buława Stanisława Rewery Potockiego*. Zginął podczas powstania styczniowego w Puszczy Solskiej 24 kwietnia 1863 r. Miasto Stanisławów już w wolnej Polsce uczciło jego pamięć, nadając szkole, do której uczęszczał, nazwę I *Gimnazjum Państwowe im. Mieczysława Romanowskiego*.

Nauka związała też z naszym miastem **Ignacego Daszyńskiego** (1866–1936), przywódcę PPSD Galicji i Śląska Cieszyńskiego, premiera i marszałka Sejmu w niepodległej Polsce. Daszyński był uczniem gimnazjum stanisławowskiego, z którego za działalność patriotyczną został wydalony.

Więzy śmierci połączyły z grodem Rewery poetę **Maurycyego Gośławskiego** (1805–34) oraz członka Rządu Narodowego w powstaniu styczniowym **Agatona Gillera** (1831–87).

Gośławski, poeta-żołnierz, uczestnik powstania listopadowego i wyprawy Zaliwskiego do Królestwa, ukrywał się w Galicji, gdzie pojmany przez władze austriackie zmarł w więzieniu stanisławowskim. Jego grób, zachowany do dzisiaj, był w czasach austriackiej niewoli miejscem patriotycznych manifestacji młodzieży miasta. Również miejscem takich manifestacji był grób Gillera, który po powrocie ze Szwajcarii spędził ostatnie trzy lata życia w nadby-

strzyckim grodzie, w domu swojej siostry przy ul. Kamińskiego. Tu zmarł i został pochowany na starym cmentarzu miejskim. W 1981 r. prochy Gillera, staraniem Narodowego Związku Polaków w Stanach Zjednoczonych, sprowadzone zostały do Warszawy i spoczęły na Powązkach.

W Stanisławowie urodziło się też wielu wybitnych przedstawicielel inteligencji, ludzi zasłużonych dla polskiej nauki, kultury i dla Kościoła.

Tu urodził się **Sadok Barącz** (1814–92), zapomniany dziś historyk ziem południowo-wschodnich i polskich Ormian. Wyświęcony w 1838 r. na kapłana, poświęcił się pracy naukowej nad dziejami ziemi, z której pochodził. Wśród wielu prac napisał: *Pamiętki miasta Stanisławowa* i *Pamiętki miasta Żółkwi* oraz *Żywoty sławnych Ormian w Polsce*.

W tym samym roku co Barącz przyszedł na świat w nadbystrzyckim grodzie **Albin Dunajewski** (1814–94), biskup krakowski i kardynał, restaurator Wawelu, a w młodości działacz organizacji niepodległościowych i więzień austriackiej twierdzy na Spielbergu. W Stanisławowie urodził się też brat kardynała, **Julian Dunajewski** (1824–1907), ekonomista i polityk, zwolennik orientacji austriacko-polskiej i minister skarbu Austrii.

Stanisławowianinem byli też **Jan Lam** (1838–86), powieściopisarz, twórca polskiej powieści satyrycznej, a potem redaktor lwowskiego „Dziennika Polskiego” (do jego najgłośniejszych książek należą *Głowy do pozłoty* i *Koroniarz w Galicji*) oraz **Stanisław Lam** (1891–1965), historyk literatury, bibliofil, wydawca encyklopedii oraz autor licznych monografii literackich, rozpraw bibliofilskich i bibliograficznych.

Z grodu Rewery pochodził też **Stanisław Wasylewski** (1885–1953), autor rozlicznych studiów historycznych o dawnym obyczaju, koncentrujący się przede wszystkim na okresie oświecenia i romantyzmu. Do jego najpoczytniejszych książek należą: *Na dworze króla Stasia*, *Romans prababki*, *Portrety pań wytwornych*.

Stanisławów powstał jako twierdza kresowa, broniąca południowo-wschodnich rubieży Rzeczypospolitej, toteż nie jest przypadkiem, że w Stanisławowie Henryk Sienkiewicz pochował bohatera swojej nie-

śmiertelnej Trylogii – pana Michała Wołodyjowskiego, a poczet wybitnych Polaków związanych z tym miastem otworzyli wojskowi – i wojskowi go zamykają.

Wśród najślawniejszych współczesnych rycerzy wywodzących się z naszego grodu wymienić należy B. Zajączkowskiego i A. Zajęca, którzy życie swoje oddali broniąc Polski i Europy przed najazdem bolszewickim w 1920 r.

Kapitan WP **Bolesław Zajączkowski**, wcześniej uczeń I Gimnazjum w Stanisławowie, był dowódcą oddziału, który stoczył nierówną walkę z przeważającymi siłami bolszewickimi pod Zadwórzem k. Lwowa, ginąc wraz ze swoimi żołnierzami. Major WP **Adam Zajęc**, również niegdyś uczeń I Gimnazjum, uczestnik wojny z Ukraińcami w r. 1918, zginął razem ze swoim oddziałem śmiercią bohaterską, w walce z czerwonym najazdem w bitwie pod Dytiatynem w powiecie rohatyńskim 16 września 1920. Obie te bitwy przeszły do historii naszego oręża jako *Polskie Termopile*.

Ostatnim *orłem kresowym*, który poszybował z naszego miasta, aby walczyć o Polskę, był **Stanisław Sosabowski** (1892–1969), rodowity stanisławowianin, który tu w grodzie nadbystrzyckim ukończył szkoły i tu jako czynny działacz niepodległościowej organizacji „Zarzewie” kierował drużynami skautowymi. W latach I wojny służył w armii austriackiej, a od r. 1918 w Wojsku Polskim, gdzie pełnił szereg odpowiedzialnych funkcji sztabowych, dowódczych i dydaktycznych. We wrześniu 1939 r. bierze udział w obronie Warszawy, a potem przez Węgry przedostaje się na Zachód, gdzie w Polskich Siłach Zbrojnych awansuje do stopnia generała brygady. Dowodząc Samodzielną Brygadą Spadochronową walczy na jej czele pod Arnhem w Holandii. Po jałtańskiej zdradzie aliantów pozostaje na emigracji, wydając kilka wspomnieniowych książek, m.in. *Najkrótszą drogą*. Zmarł w Londynie, a pochowany został na warszawskich Powązkach.

Ciała wybitnych Polaków związanych z grodem Rewery spią snem wiecznym, ale duchy ich czuwają, aby pamięć o mieście, które leży w widłach obu Bystrzyc, trwała wiecznie...

Biogram autora – patrz *Sylwetki* w tym numerze.

NARODZINY NOWOCZESNEGO STANISŁAWOWA

Krzysztof Broński

Miasto Stanisławów, nazywane *Grodem Rewery*, zostało założone w 1661 roku przez Jędrzeja Potockiego, kasztelana krakowskiego i hetmana polnego koronnego. Rola tego nowego miasta nie ograniczała się do interesów rodziny Potockich, ponieważ było ono również przewidziane jako ważny, o ogólnopaństwowym znaczeniu strategiczny, punkt obronny. Ważne było też samo istnienie takiego miasta, zasiedlonego w dużej mierze przez ludność napływową, w niezbyt przyjaznym otoczeniu miejscowym. Czynniki te zaważyły na rozwiązaniu urbanistycznym Stanisławowa jako miasta fortecy. Założyciel nadał mu w 1662 r. dokument lokacyjny, a w nim określił prawa i powinności mieszczan wedle prawa magdeburckiego. Już od r. 1672, tj. od chwili upadku Kamieńca Podolskiego, stała się stanisławowska forteca, obok halickiej, jednym z najważniejszych punktów obrony na pograniczu południowo-wschodnim Rzeczypospolitej. W dwa dziesiątki lat po założeniu gród nadbystrzycki stał się centrum Pokucia, dystansując coraz bardziej upadający Halicz i wszystkie inne o wiele starsze miasta tego regionu.

Po zajęciu Stanisławowa w 1772 r. przez zaborcę austriackiego miasto było mocno zrujnowane. Nowe władze pominęły zrazu Stanisławów jako siedzibę jednostki administracyjnej drugiej instancji. Dopiero po 10 latach połączono obwody tyśmienicki i kołomyjski oraz utworzono nowy – stanisławowski. W ślad za tym pomieszczono w Stanisławowie kilka nowych urzędów państwowych.

W pierwszej połowie XIX wieku najistotniejszą zmianą w strukturze przestrzennej Stanisławowa była likwidacja jej



Plan Stanisławowa z czasów jego założenia w XVII w.

charakteru twierdzy. Usunięcie fortyfikacji zdecydowanie zmieniło zewnętrzny wygląd miasta oraz stanowiło wstęp do modernizacji jego tkanki urbanistycznej. Oczyszczono wówczas ulice i place z ruder i drewnianych bud, uporządkowano rynek, odnowiono zniszczone bruki i wybudowano nowe kanały. Zainstalowano oświetlenie na ważniejszych ulicach i placach. W śródmieściu powstały nowe, jedno- i dwupiętrowe kamienice. Porządkowanie urbanistyczne ułatwiły dwukrotne pożary miasta w latach 1826 i 1835. Historyk Sadok Barącz tak przedstawia wygląd Stanisławowa z połowy XIX wieku: *Miasto zaleca się nader pięknym i zdrowym położeniem wśród rozległej równiny. Obwód całego miasta z przedmieściami zajmuje przestrzeń niemal dwóch godzin (!). Miasto z przedmieściami, podzielone jak Lwów na 5 części, posiadające oprócz czworobocznego rynku 4 pięknych placów i 24 brukowanych ulic z dostatecznym oświetleniem, liczy 765 domów, z tych 438 mrowanych i 327 drewnianych. Wśród budyn-*



ków murowanych 118 kamienic jedno-, dwu- i trzypiętrowych. Trzecia ćwierć XIX w. zaznaczyła się zastojem w ruchu budowlanym. Brak odpowiedniej konserwacji dróg i placów stał się przyczyną degradacji miasta. Zaniedbano także zielen miejską. Nie może nas więc dziwić fakt, iż niemiecki korespondent porównuje ulice Stanisławowa *mit einen Alpenlandschaft*.

W 1868 r. Stanisławów znowu dotknęła klęska pożaru. Zniszczeniu uległa cała historyczna zabudowa miasta. Z ważniejszych budowli padł wtedy pastwą ognia stary ratusz oraz szereg innych budowli w rynku i najbliższej okolicy. W sumie spłonęła 1/4 zasobu budowlanego miasta.

W latach 80. XIX w. Stanisławów liczył już 1257 domów. Prowadzenie akcji regulacyjnej sieci ulicznej stanowiło jeden z elementów modernizacji miasta i stwarzało możliwość postępu cywilizacyjnego. [...] Znaczący rozwój ludności Stanisławowa przyczynił się do ożywienia budownictwa mieszkaniowego. Puste place, w szczególności na przedmieściu tyśmienickim, zapełniły się blokami kamienic. Prywatni inwestorzy budowali wiele okazałych – jak na prowincjonalne warunki – domów, czerpiąc wzory z budownictwa lwowskiego. Z tych na

uwagę zasługiwał potężny blok pasażu Gartenbergów (zniszczony w 1917 r. na skutek działań wojennych) oraz trzypiętrowe kamienice Hauswaldów, Chowańców i szereg innych przy ul. Sapieżyńskiej i przyległych, wreszcie okazałe wille przy ul. Słowackiego i Kilińskiego. W realizacji większych inwestycji mieszkaniowych brali udział budowniczowie lwowscy. Od lat 70. realizowano w Stanisławowie program budowy nowych szkół. W 1871 r. odbudowano zniszczony przez pożar ratusz (plan jego odbudowy opracował Anastazy Przybyłowski, budowniczy lwowski) [...], a w latach 1883–84 wzniesiono przy ul. Kamińskiego budynek kasy oszczędności.

Żywy rozwój budownictwa użyteczności publicznej datuje się od lat 90. XIX stulecia. Stosunkowo liczną grupę budowli o ważnej treści społecznej i architektonicznej stanowiły dominujące w sylwecie miasta obiekty sakralne. W okresie 1894–95 wybudowali w Stanisławowie swój kościół ks.ks. Jezuiti. W 1907 r. wzniesiono świątynię Ave Maria; w Kniahininie-Kolonii powstał w 1913 r. kościół pw. św. Józefa, tam też zbudowano w 1885 r. zbór protestancki. Trzeba też wymienić synagogę *postępową*, wzniesioną w latach 1895–99 przy pl. Mickiewicza (we-

dług projektu wiedeńskiego architekta Wilhelma Stiasnego). Na uwagę zasługiwały liczne prace restauracyjne starych świątyń. W 1892 r. dokonano gruntownej renowacji stanisławowskiej kolegiaty, a w r. 1900 – kościoła ormiańskiego. W 1905 r. wyremontowano katedrę grekokatolicką.

Powstały starannie opracowane przez architektów lwowskich, krakowskich, a nawet wiedeńskich gmachy banków, towarzystw społecznych, sądowe. W 1891 r. wystawiono okazały jak na ówczesne czasy budynek teatralny. Był to jedyny w prowincjonalnym mieście galicyjskim budynek stałego teatru. Miasto przekazało pod jego budowę teren, Kasa Oszczędności zaś środki finansowe w wysokości 90 tys. złotych reńskich. Teatr mieścił 320 foteli, 10 łóż i balkon, a ogółem mógł pomieścić 800 widzów. W 1895 r. oddano do użytku gmach Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” (zaprojektowany przez krakowskiego architekta Karola Zarembę). W 1896 r. powstał budynek Rady Powiatowej, a w 1897 Kasyno Miejskie (wg projektu stanisławowianina zamieszkałego w Krakowie, Teofila Wiśniowskiego). W 1905 r. poświęcono nowy gmach Krakowskiego Towarzystwa Ubezpieczeń Wzajemnych – tzw. „Florjanki” – dla biur sekcji stanisławowskiej (projekt miejscowego architekta Jana Kudelskiego). W tym samym roku oddano bu-

dynek Banku Austro-Węgierskiego, tuż zaś przed wybuchem I wojny światowej obiekty Urzędu Skarbowego.

Włączenie Stanisławowa do sieci kolejowej Galicji spowodowało, że miasto stało się w Galicji ważnym węzłem. W 1876 r. wybudowano duży gmach dworca kolejowego, rozszerzony w 1906 r. do prawdziwie monumentalnych rozmiarów. Duże znaczenie dla rozwoju miasta miało otwarcie w r. 1893 – dzięki poparciu pochodzącego ze Stanisławowa prezydenta austriackich kolei dra Leona Bilińskiego – trzeciej w Galicji, obok lwowskiej i krakowskiej, Dyrekcji Kolei Państwowych. Spodziewano się, że zorganizowanie tej instytucji zintensyfikuje życie gospodarcze i społeczne miasta. Budynek usytuowano przy pl. Potockiego, frontem do ul. Karpińskiego. Drugi budynek Dyrekcji Kolei wzniesiono na krótko przed I wojną przy ul. Grunwaldzkiej. Instytucja ta przyczyniła się do rozwoju rynku lokalnego, do rozwoju kulturalnego i poszerzenia elity intelektualnej miasta.

Struktura przestrzenna Stanisławowa Su progu XX wieku obejmowała Śródmieście i cztery przedmieścia: Halickie, Łysieckie, Tyśmienickie i Zabłotowskie. W 1905 r. w śródmieściu na 186 budynków ogółem, prawie 1/4 stanowiły obiekty użyteczności publicznej. Dominowały bu-



Teatr w Stanisławowie (przed przebudową w latach międzywojennych)



dowle sakralne: fara katolicka, kościół ormiański, katedra grekokatolicka i trzy synagogi. Znajdował się tu także ratusz, szpital wojskowy, sąd obwodowy oraz seminarium nauczycielskie.

Na przedmieściu Halickim (568 budynków ogółem, w tym tylko 13 obiektów publicznych) mieściły się schroniska i przytułki dla ubogich i starców, szkoła barona Hirscha oraz rzeźnia i jatki miejskie. Na przedmieściu Łysieckim (343 budynki mieszkalne i 17 publicznych) były to m.in. kasa oszczędności, poczta i telegraf, starostwo, biskupstwo i seminarium grekokatolickie, szpital powszechny, zakład gazowniczy. Na przedmieściu Tyśmienickim (616 budynków mieszkalnych i 37 użyteczności publicznej) były koszary i magazyny wojskowe, prochownia, zakład karny, Bank Mieszczański, Krakowskie Tow. Asekuracyjne, „Florianka”, Rada Powiatowa, Kasyo Mieszczańskie, szpital żydowski, kościół Jezuitów oraz ewangelicki. Przedmieście Zabłotowskie (342 budynki mieszkalne i 21 publicznych) obejmowało m.in. koszary wojskowe i straży pożarnej, dworzec Kolei Lwowsko-Czerniowieckiej, magazyny tytoniu, trzy szkoły, budynek teatru. Rozmieszczenie to potwierdza zróżnicowanie przestrzeni miejskiej Stanisławowa u progu XX wieku. Zwracają uwagę inwestycje typu wojskowego, narzucane miastom przez

władze austriackie w związku z narastającym konfliktem z Rosją.

Już w latach 80. ub. stulecia na forum władz miejskich wielokrotnie rozważano konieczność powiększenia obszaru Stanisławowa. Ówczesny stan prawny, uwzględniający odrębność sąsiadujących gmin podmiejskich, różnił się od stanu rzeczywistego, gdyż praktycznie tylko rogatki dzieliły miasto od gmin podmiejskich. Nie posiadały one jednak infrastruktury ekonomicznej i społecznej. Wybuch I wojny nie przyniósł rozstrzygnięcia tej kwestii, dopiero w 1924 r. dokonano formalnego przyłączenia tych gmin do Stanisławowa, co zwiększyło jego obszar ponad pięciokrotnie (z 415 do 2275 ha).

W okresie międzywojennym wzrosła liczba ludności aglomeracji stanisławowskiej: w 1921 r. liczyła 52,5 tys. mieszkańców, w 1939 r. już ponad 70 tysięcy. W toku działań I wojny światowej zniszczeniu uległa prawie połowa budynków mieszkalnych Stanisławowa (ok. 1000). Dla ciągle rosnącej liczby ludności brakowało mieszkań. Wobec dużego deficytu w tym zakresie zarząd miasta zajął się sprawą budownictwa mieszkaniowego, realizując domy przy ulicach Halickiej, Gołuchowskiego, Kochanowskiego, Siemiradzkiego.

Charakterystyczna była struktura narodowościowa dzielnic miasta. W 1934 r. w obrębie gminy Stanisławów znajdowało

się 7680 budynków, z tego w rękach prywatnych polskich było 33%, w rękach ukraińskich 19%, w rękach żydowskich zaś 40%. Żydowscy właściciele dominowali w śródmieściu, gdzie posiadali prawie 3/4 ogólnej liczby budynków, oraz w dzielnicach przyległych do śródmieścia. Polacy i Ukraińcy posiadali przewagę liczebną w dzielnicach peryferyjnych.

Do istotnych spraw, jakie trzeba było wykonać w Stanisławowie, należało zbudowanie wodociągów miejskich. Większość mieszkańców pobierała wodę ze studni prywatnych bądź publicznych, niektóre zakłady – np. stacja kolejowa – zaopatrywały się w wodę sprowadzaną rurociągami z Bystrzycy. Próbę realizacji wodociągów miejskich podejmowano kilkakrotnie przed I wojną i w okresie międzywojennym, jednak nie udało się jej zrealizować do wybuchu II wojny światowej. [...]

Kiepski stan zaplecza szkolnego wymagał gruntownej renowacji. W latach międzywojennych zrealizowano kilka nowych obiektów szkolnych, zaadaptowano na ten cel jeden z budynków wojskowych, przeprowadzono modernizację wszystkich starszych szkół. Gruntownie przebudowano ratusz stanisławowski, powstały nowe

obiekty na potrzeby instytucji oraz organizacji społecznych.

* * *

Konkludując, można stwierdzić, że Stanisławów w I połowie XIX w. stworzył dla siebie podstawy pod rozwój nowoczesnego miasta. W dobie autonomii galicyjskiej (od lat 60. tamtego wieku do I wojny) nastąpiło przyspieszenie rozwoju Stanisławowa. Rozwijało się budownictwo mieszkaniowe i użyteczności publicznej. Podejmowano szereg inwestycji komunalnych, wpływających w sposób znaczący na poprawę warunków bytowych ludności.

W dwudziestoleciu międzywojennym nastąpił dalszy rozwój urbanistyczny Stanisławowa. Kres działalności inwestycyjnej prywatnej i komunalnej położył wybuch wojny w 1939 r. oraz kolejno następujące po sobie okupacje.

KRZYSZTOF BROŃSKI, ur. 1957 w Gródku k. Grybowa. Studia na Akademii Ekonomicznej w Krakowie, doktorat 1992 w zakresie historii gospodarczej. Pracuje na AE w Krakowie, specjalizuje się w problematyce rozwoju miast w XIX i XX w. Autor książki *Rozwój społeczno-gospodarczy Stanisławowa w latach 1867–1939* (wyd. 1999).



Gmach Dyrekcji Kolei Państwowych w Stanisławowie. Fot. P. Korpany



Defilada 48 P.P. Strzelców Kresowych w Stanisławowie

A JEDNAK STANISŁAWÓW

Adam J. Chowaniec

Panuje opinia, że dopiero na starość powracają wspomnienia z lat młodości i różnych minionych wydarzeń. Tkwi w tym tylko część prawdy, bo na przykład zdecydowana większość ludzi, wygnanych ze stron rodzinnych, wspomina bez względu na swój wiek tamte umiłowane strony – Ziemie Wschodnie. Z nimi trzeba się było rozstać, szybko i często wręcz brutalnie. Oprócz Stanisławowa żywo w pamięci pozostają malownicze góry oraz leżące u ich stóp miejscowości: Jaremcze, Kamień Dobosza, Mikuliczyn, Tatarów, Worochta czy wiele innych – były przysłowiowym rajem dla letników i turystów. Bez odpowiedzi pozostaje pytanie, dlaczego Stanisławów traktowany bywa jakby nieco po macoszemu, w przeciwieństwie do innych, nawet mniejszych miast „kresowych”. Znajduje to potwierdzenie w różnych obecnych publikacjach. A jednak Stanisławów, ze swoją bogatą historią i mieszkańcami zasługuje na większe zainteresowanie aniżeli tylko w kołach stanisławowiaków. Warto zatem przypomnieć, choćby skrótowo, rolę i rangę tego Grodu Rewery.

Początki miasta sięgają XVII wieku. Powstanie i rozwój zawdzięcza ono rodzinie Potockich. Długo pełniło funkcje obronne przed najazdami ze wschodu i południa. W 1676 r. Stanisławów wslawił się bohaterskimi walkami z hordami tureckimi. Może więc i nie przypadkiem

Henryk Sienkiewicz wybrał właśnie kolegiatę stanisławowską jako miejsce pogrzebu Pana Wołodyjowskiego? W miarę upływu lat miasto przyjęło rolę ośrodka życia kulturalnego i intelektualnego, emanując tym na całe Pokucie. Istotne znaczenie dla miasta i tamtejszego regionu

miało utworzenie w połowie lat 20. województwa stanisławowskiego.

W latach międzywojennych systematycznie realizowano w Stanisławowie i na terenie województwa odbudowę i modernizację obiektów różnego rodzaju. Nowy ratusz stanisławowski, elektrownia miejska, gazownia, remiza straży pożarnej z taborem, asfaltowe nawierzchnie ulic, rozbudowa sieci telefonicznej – to obraz miasta bardziej już nowoczesnego. Towarzyszył temu rozwój przemysłu i handlu. Dzięki mocno zalesionym terenom i właściwie prowadzonej gospodarce leśnej powstały liczne tartaki, w samym zaś Stanisławowie zakłady przemysłu drzewnego. Rozpoczęto eksploatację złóż ropy naftowej. Zauważalny był postęp w dziedzinie oświaty i kultury. Nie pozostawało to bez wpływu na poprawę sytuacji materialnej ludności miast i wsi, żyjącej często w trudnych warunkach.

Nielatwa problematyka Ziemi Wschodnich wymagała odpowiednich kwalifikacji oraz dyspozycyjności władz cywilnych i wojska. W Stanisławowie był silny garnizon, a swoje siedziby miały 11. Karpacka Dywizja Piechoty i Podolska Brygada Kawalerii. W skład tej dywizji wchodziły: 48. Pułk Piechoty Strzelców Kresowych (Stanisławów), 49. Pułk Piechoty Strzelców Huculskich (Kołomyja), 53. Pułk Piechoty (Stryj), 11. Pułk Artylerii Polowej (Stanisławów) i jednostki pomocnicze. Do Podolskiej Brygady Kawalerii przynależały: 6. Pułk Ułanów Kaniowskich (Stanisławów), 9. Pułk Ułanów Małopolskich (Trembowla), 14. Pułk Ułanów Jazłowieckich (Lwów), 6. Dywizjon Artylerii Konnej (Stanisławów). O sprawdzonych w praktyce wysokich kwalifikacjach kierownictwa cywilnego w Stanisławowie i dowódców jednostek wojskowych mogą świadczyć dokonywane w latach 30. i przed samą wojną przesunięcia na wyższe, bardziej odpowiedzialne stanowiska. I tak, kolejni wojewodowie: B. Nakonecznikoff-Klukowski oraz T. Korsak powołani zostali na wiceaministrów spraw wewnętrznych, starosta F. Sokół objął stanowisko komisarza rządu w Gdyni. Nie sposób natomiast wymienić tu rdzennych stanisławowian, sprawujących na terenie kraju wysokie stanowiska – naukowe, administracyjne, ekonomiczne czy polityczne. Spisy tych osób są sporządzane.

Na kilka lat przed wojną dwaj kolejni dowódcy 48. p.p. płk T. Parafiński i płk W. Kaliński przeszli na wyższe stanowiska w innych garnizonach. Przed samym wybuchem wojny dotychczasowy dowódca 11. d.p. gen. K. Łukoski objął stanowisko zastępcy dowódcy Armii Karpaty, później zaś dowódcy Grupy Armijnej. Dowódca brygady kawalerii gen. J. Kleeberg powołany został do dyspozycji Naczelnego Dowództwa. Dowódca 6. d.a.k. płk Mirza Sulkiwicz przejął dowództwo artylerii w obronie Warszawy. Ten awans i inne potwierdzały wysoką przydatność wojskową tych oficerów.

Z chwilą rozpoczęcia działań wojennych jednostki naszego garnizonu miały następujących dowódców: 11. Karpacka d.p. – płk B. Prugar-Ketling, 48. p.p. Strzelców Kresowych – płk W. Nowak, 49. p.p. Strzelców Huculskich – płk Hadała, 53. p.p. – płk Sz. Kocur, 11. p.a.l. – płk Cz. Obtulowicz. Natomiast Podolska b.k. – płk L. Strzelecki, 6. p. Ułanów Kaniowskich – płk St. Liszko, 9. p. Ułanów Małopolskich – płk K. Rudnicki, 14. p. Ułanów Jazłowieckich – płk. E. Godlewski, 6. d.a.k. – płk St. Pochopień.

Skoro tematem stanisławowskich wspomnień jest także nasze wojsko, nie można pominąć jego udziału w kampanii wrześniowej 1939 roku. Pamiętamy, że zarządzone we właściwym terminie powszechna mobilizacja została odwołana pod naciskiem aliantów, kolejna zaś – tuż przed atakiem wojsk niemieckich, a więc mocno spóźniona – nie mogła być w pełni zrealizowana. Wobec szybkiego marszu wroga i nieustannego bombardowania także dróg i szlaków kolejowych zaistniały ogromne przeszkody w terminowym dotarciu lub wręcz uniemożliwiający dotarcie do wielu formacji, do zarządzonych punktów docelowych, nierzadko bardzo odległych. Taki los spotkał właśnie naszą 11. dywizję, która po zbombardowaniu torów kolejowych, musiała się zatrzymać na odcinku Rzeszów-Tarnów. Do rejonu Bochnia-Brzesko, jako docelowego, udało się dotrzeć jedynie trzem batalionom. Reszta dywizji wyładowała się z transportu kolejowego i przeszła w kierunku południowym (Brzostek-Kołaczyce-Frysztak). Zupełnie tam osamotniona weszła do walki z wrogiem 6 września. Pomimo naporu przeciwnika, dążącego do okrążenia dywizji, płk Prugar-

-Ketling, będąc doskonałym strategiem, wyprowadził ją w nowym kierunku – na linię Sanu i Lwowa, jak zarządziło Naczelne Dowództwo. Wróg nacierał tam od strony zachodniej i południowej, ale siły polskie zostały wzmocnione przez inne jeszcze oddziały. Zgrupowaniami naszych wojsk kolejno dowodzili generałowie: Fabrycy Łukoski i Sosnkowski. Dywizja nasza, będąc w ciągłym kontakcie z wrogiem, stoczyła szczególnie ciężkie walki pod Łętownią, na linii Sanu, w obronie Przemyśla, pod Sądową Wisznią, w lasach janowskich i w końcu na przedpolach Lwowa, koło Brzuchowic. Na drodze tych ciężkich walk, okupionych poważnymi stratami, poszczególne pułki dywizji i ich bataliony zadały Niemcom również duże straty, niszcząc m.in. elitarny pułk SS „Germania” wraz z kilkuset pojazdami.

Końcowe walki całego zgrupowania, dowodzonego wtedy przez gen. Sosnkowskiego, toczyły się w rejonie Brzuchowice-Hołosko. Straty były tak ogromne, że np. Sosnkowski i Prugar-Ketling osobiście obsługiwali armaty. Z naszej dywizji pozostało zdolnych do walki zaledwie ok. tysiąc żołnierzy. Podobnie było w innych jednostkach zgrupowania. 19 września okrążone przez wroga i pozbawione amunicji wojska musiały się poddać. Do Lwowa przebiła się tylko grupa w sile ok. stu żołnierzy z 49. pułku. Po kapitulacji pewna grupa oficerów dostała się także w ręce sowieckie – do obozu śmierci w Starobielsku.

W obszernej zbiorowej pracy historyków wojskowych pt. „Polski czyn zbrojny w II wojnie światowej” zawarto stwierdzenie tej treści: 11. Karpacka Dywizja Piechoty na swoim szlaku bojowym stanowała najbardziej zwartą i zdyscyplinowaną jednostką bojową. Było to niewątpliwie zasługą dowódcy dywizji, płk Prugar-Ketlinga, który po jakimś czasie przedostał się do Francji i tam już w randze generała równie świetnie dowodził dywizją w kampanii francuskiej 1940 roku. Generała Łukoskiego, b. dowódcę 11. dywizji, zamordowano w Starobielsku, a płk Nowak, dowódca 48. pułku, ocalał życie w niewoli sowieckiej, służył potem w dywizji kościuszkowskiej i z nią powrócił do kraju. Losy pozostałych dowódców nie są znane autorowi.

Z kolei wypada wspomnieć o walkach wrześnieowych Podolskiej Brygady Kawalerii. W planach wojennych desygnowano ją do walk w ramach Armii „Łódź”, dowodzonej przez gen. Rómmla. Brygada wyruszyła w drogę transportami kolejowymi w ostatnich dniach sierpnia. Już podczas drogi zmieniono rozkazy i skierowano brygadę do Armii „Poznań”, którą dowodził gen. Kutrzeba. Wydłużenie podróży zbiegło się z rozpoczęciem wojny i tym samym – nalotów nieprzyjacielskich, ale szczęśliwie uniknięto strat. Poszczególne pułki brygady wyłado-



Żołnierz z 49 P.P. Strzelców Huculskich w Kołomyi

wywały się na odcinkach Września-Nekla. Skoncentrowały się w pobliskich lasach i następnie wyruszyły konno do wyznaczonych pozycji, na zachód od Poznania. W skład Armii „Poznań” wchodziła też Wielkopolska Brygada Kawalerii, którą dowodził gen. St. Abraham, lwowianin i obrońca Lwowa z 1918 roku. Unikając okrążenia ze strony zmasowanych sił niemieckich, Armia przesunęła się w kierunku wschodnim i pld.-wschodnim, a obie brygady zajęły pozycje skrzydłowe. Do 9 września nasza brygada nie miała większej styczności z wrogiem – poza nalotem, bez większych strat. Dalej droga wiodła przez rejon Gniezna, lasy

Nykielska i Nowiny Brdowskie, pod Uniejów. Do zdobycia tej miejscowości wyznaczono 6 pułk, który po ciężkich walkach opanował ją. Dalszymi miejscami ciężkich walk podolskiej brygady z przeważającymi siłami wroga były m.in.: Ozorków, Łęczycza, Sochaczew, Brochów, wraz z nader trudną, okupioną dodatkowymi stratami przeprawą przez Bzurę, do Puszczy Kampinoskiej. W tej fazie walk nad Bzurą z obu brygad utworzono Grupę Operacyjną Kawalerii pod dowództwem gen. Grzmota-Skotnickiego, który wkrótce poległ. Nowym dowódcą został gen. Abraham. Walki w Puszczy Kampinoskiej w dniach 14–19 września zostały okupione bardzo dotkliwymi stratami w ludziach i koniach. Ułani 6. pułku ze Stanisławowa zdobyli tu silnie bronioną miejscowość Sieraków, a następnie z innymi pułkami atakowali Laski, gdzie Niemcy dokładnie zaryglowali drogę do Warszawy.

Bezskuteczność ponawianych ataków nasunęła próbę przebicia się w innym miejscu obrzeża puszczy – w okolicy Wólki Węgłowej, patrole stwierdziły jednak, że tam też jest koncentracja piechoty i czołgów niemieckich. Pułkownik Godlewski więc, licząc na zaskoczenie, wybrał wyjście dla swoich ułanów jazłowieckich, nakazując przebicie się galopem przez pozycje wroga, klując i rąbiąc. Początek był udany, bo pojawienie się kilkuset jeźdźców faktycznie sprawiło zaskoczenie, a piechurzy padali pod cięciami szabel. Wszystko jednak szybko się odmieniło i za oddalającymi się ułanami posypał się grad pocisków z czołgów i broni maszynowej. W końcu więc niewielu ułanów i niewiele koni dotarło do Warszawy. Pozostałe pułki obu brygad, wykorzystując nocną przerwę w walkach, doszły niespostrzeżenie do Warszawy. Obie brygady brały następnie udział w obronie tego miasta od strony Czerniakowa. Celem upamiętnienia bohaterskiej szarży ułanów jazłowieckich wystawiono pomnik na cmentarzu ułańskim w Kępinie Podduchownej koło Warszawy.

Straty brygady, podobnie jak i wszystkich jednostek wojskowych biorących udział w kampanii wrześniowej, dawały się obliczyć tylko szacunkowo. Dokładniejsza ewidencja poległych, zaginionych i rannych nie była możliwa, bo np. w wyniku bombardowań niektórych zwłok niepodobna było rozpoznać. Zginęły spisy i identyfikatory żoł-

nierskie. Żołnierze i oficerowie, rozproszeni podczas walk, przyjmowani byli do innych oddziałów itd. Szacunek strat brygady podolskiej wyniósł ok. 50% w ludziach, podobnie w koniach. W dywizjach piechoty straty były przeważnie jeszcze wyższe.

Po zakończeniu ostatniego etapu walk w Warszawie i kapitulacji, gen. Abraham i płk Liszko dostali się do niewoli, płk Rudnicki po wielu dramatycznych kolejach życia (patrz CL S/99) wstąpił do II Korpusu gen. Andersa i tam w randze generała dowodził dywizją. Płk Godlewski pozostał w kraju, przeszedł do konspiracji i jako komendant Okręgu Krakowskiego AK został w 1944 r. ujęty i zamordowany przez gestapo. W wielu opracowaniach można znaleźć nazwiska oficerów, podoficerów i żołnierzy, którzy w 11. Karpackiej Dywizji Piechoty i Podolskiej Brygadzie Kawalerii wyróżnili się szczególnym męstwem i którzy otrzymali za to wysokie odznaczenia bojowe, za życia lub po śmierci.

Na przestrzeni dziejów mieszkańcy Stanisławowa, podobnie jak inni zamieszkali na Ziemiach Wschodnich, przeżywali lepsze i gorsze czasy, uwarunkowane ówczesnymi sytuacjami politycznymi. Jednakże apogeum czegoś najgorszego nastąpiło w trakcie kolejnych okupacji – sowieckiej, niemieckiej, i znów sowieckiej. Zbrodnia rzeź z gestapo, NKWD i UPA prześlą się wręcz w okrucieństwach wobec ludności polskiej. Masowe ludobójstwo i deportacje zmierzały do likwidacji polskości. Społeczeństwo podejmowało samoobronę w różnych formach. Jednak cena wytrwania równała się często śmierci.

Te formy walki stanowiły więc jakby kontynuację bohaterskich zmagania Wojska Polskiego w obronie Ojczyzny. Symboliczną rekompensatą za gorący patriotyzm i martyrologię Rodaków na Ziemiach Wschodnich winna być nieprzemijająca wdzięczność oraz pamięć o Nich – nasza i przyszłych pokoleń.

ADAM J. CHOWANIEC, ur. 1922 w Stanisławowie. Do szkół uczęszczał w Stanisławowie, Lwowie i w czasie wojny, na tajnych kompleksach w Krakowie. Ukończył studia prawnicze na UJ, pracował na stanowiskach ekonomicznych w przedsiębiorstwach branży księgarskiej. Od 1983 na emeryturze.



STAROSTA W TRZECH POWIATACH Wincenty Harmata

Wiele się ostatnio mówi i pisze o reformie administracyjnej i utworzeniu na nowo powiatów, które spełniały dawniej ważną rolę w organizacji i funkcjonowaniu państwa. Wieloletnia przerwa ustroju powiatowego spowodowała, że różne zagadnienia, sprawy i metody rządzenia, związane ze strukturą państwa, zostały zapomniane, a młode pokolenie nic prawie o tym nie wie. Warto więc dzisiaj, w związku z zachodzącymi u nas zmianami, przypomnieć i przedstawić sylwetki działaczy administracyjno-politycznych, którzy w latach 1918–39 stali na czele powiatów. Wszak były to lata dochodzenia II Rzeczypospolitej, już niepodległej, do dobrobytu i doskonalenia form ustrojowych. Była to, rzecz jasna, zupełnie odmienna rzeczywistość niż obecnie, pewne jednak zasady i priorytety pozostały nie zmienione. Przykładem niech będzie postać Stanisława Harmaty – starosty, kolejno, w trzech powiatach II Rzeczypospolitej.

Urodził się w 1887 r. we Lwowie w rodzinie urzędnika sądowego. Po ukończeniu szkoły powszechnej w Krośnie, do gimnazjum uczęszczał w Jaśle i tam zdał maturę. Studia wyższe ukończył na Uniwersytecie Lwowskim, na Wydziale Prawa i Umiejętności Politycznych (1906–10) oraz na Wydziale Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego. We Lwowie wykładali w owym czasie: Nusbaum-Hilarowicz, Balzer, Twardowski, Abraham. Niektórzy z nich tworzyli później słynną lwowską szkołę prawniczą.

Swoją służbę w strukturach administracyjno-politycznych rozpoczął jeszcze w czasach zaboru austriackiego. Po ukończeniu studiów podjął pracę w ck Namiestnictwie we Lwowie, gdzie w 1913 r. został mianowany tzw. praktykantem koncepcyjnym, składając przed tym, zgodnie z ustawą, egzamin praktyczny z ustawodawstwa i postępowania polityczno-administracyjnego. Potem został skierowany kolejno do starostwa w Bochni, następnie do Przemyślan, i ponownie do Bochni – gdzie pracował do

zakończenia I wojny światowej (1918). Pozwoliło mu to na zapoznanie się z funkcjonowaniem struktury urzędu starostwa. W tym czasie w 1916 r. zawarł małżeństwo ze Stanisławą Frytówną, córką Józefa Fryta, dyrektora ówczesnego ck Urzędu Salinarnego w Bochni i Wieliczce.

W Polsce odrodzonej Stanisław Harmata został mianowany referentem (a po roku starszym referentem) w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych w Warszawie. Stąd widok na Polskę był najpełniejszy, toteż po krótkim okresie pracy w stolicy, w r. 1920 został mianowany starostą w Radomsku. Jego działalność polegała tam na uporządkowaniu spraw związanych z likwidacją pozostałości po zaborze rosyjskim, budowie dróg i obiektów użyteczności publicznej, a także budowie Szkoły Rolniczej w Dobroszycach, która dotrwała do dzisiaj.

W 1926 r. Stanisław Harmata został przeniesiony na wschodnie rubieże kraju – na teren województwa stanisławowskiego, do Rohatyna (60 km na pld. wsch. od Lwowa), który liczył wtedy 8 tys. mieszkańców (pisma mianujące go na starostę rohatyńskiego, a potem stryjskiego, zachowane w archiwum rodzinnym, podpisał ówczesny minister SW Felicjan Sławoj-Składkowski). Przeniesienie to stworzyło nowemu staroście możliwość

poznania nowych, trudnych, a ważnych dla kraju problemów, związanych m.in. z mniejszościami narodowymi: ukraińską, żydowską, a nawet niemiecką. Należy zaznaczyć, że stanowisko starosty powiatowego było w ówczesnej Polsce bardzo ważne, szczególnie w Małopolsce Wschodniej. Na starości spoczywał cały ciężar spraw administracyjnych, politycznych, społecznych i gospodarczych; posiadał on w związku z tym szerokie uprawnienia, ale i odpowiedzialność. Problemy te towarzyszyły mu do końca jego działalności administracyjno-politycznej, tzn. do wybuchu II wojny w 1939 r.

W Rohatynie spotkał się po raz pierwszy oko w oko z niespokojnym żywiołem ukraińskim. Nie były to sprawy łatwe i wymagały często trudnych i odpowiedzialnych decyzji, których konsekwencje mogły stwarzać nawet zagrożenia. Tym bardziej że w myśl ogólnej polityki władzom polskim zależało na niezadrażnianiu w stosunkach z ludnością ukraińską i innymi mniejszościami narodowymi.

Z okresu rohatyńskiego trzeba wspomnieć o rozbudowie dróg, zadbanie o wysadzenie drzew wzdłuż niektórych z nich, o budowie i naprawie mostów, budowie domów ludowych, także dla ludności ukraińskiej. Oddzielną sprawą było porządkowanie gospodarki w lasach państwowych i prywatnych.



Starosta S. Harmata (siedzi po prawej) z prezydentem Estonii (siedzi w środku), Hirebenów, 1935



Po pięciu latach S. Harmata został przeniesiony na stanowisko starosty w Stryju. Miasto to, liczące wówczas nieco poniżej 35 tys. mieszkańców (obecnie liczy ok. 70 tys.), położone jest o niecałe 70 km na południe od Lwowa [patrz CL 2/98, *Słownik*]. Tutaj również istniały podobne problemy narodowościowe. Szczególnie trudne były kwestie ukraińskie, z tym że ludność ta stanowiła większość na prowincji, natomiast w miastach i miasteczkach przeważała ludność polska i żydowska. O ówczesnej sytuacji świadczą kilka prób zamachów na życie starosty, które zdarzyły się w mało zamieszkałych okolicach powiatu stryjskiego – w dzikich ostępach wschodnich Bieszczadów. Trzeba jednak zauważyć, że jedynie pewna część ludności ukraińskiej – elementy nacjonalistyczne – była wrogo nastawiona do władz polskich, poza tym stosunki z Ukraińcami układały się poprawnie, a nawet dobrze.

Blisko ośmioletnia (1931–39) praca Stanisława Harmaty na stanowisku starosty stryjskiego była niewątpliwie najowocniejszym okresem jego działalności w służbach administracyjno-politycznych państwa. Z wielu na to dowodów można wymienić m.in. budowę dróg publicznych w mieście i powiecie, mostów – w tym żelaznego mostu drogowego na rzece Stryj

w Stryju (został wysadzony w czasie II wojny, a jego resztki do dzisiaj leżą w korycie rzeki), a dalej urządzeń technicznych, związanych z regulacją bogatej sieci wodnej w tym podgórskim rejonie (wały powodziowe, mury oporowe, przepusty itp.). Innym polem działalności była budowa szkół, domów ludowych itd. I tu sadzono duże ilości drzew owocowych wzdłuż dróg, co obok znaczenia gospodarczego nadawało szczególnego uroku krajobrazowi Ziemi Stryjskiej.

Szczególną uwagę poświęcały władze powiatowe – głównie starosta – znanemu uzdrowisku Morszyn (12 km na południe od Stryja). W latach 30. przeżywało ono okres rozkwitu. Wielkim osiągnięciem było wybudowanie nowego Domu Zdrojowego, najnowocześniejszego jak na owe lata, w którego realizację był zaangażowany rząd amerykański. Przyjechał tam nawet ambasador USA, którego starosta uroczyście podejmował.

Stryj był miastem wojskowych i kolejarzy (ważny węzeł kolejowy oraz zakłady naprawcze sprzętu kolejowego) i fakt ten nadawał temu miastu szczególny charakter. Powiat graniczył na południu z Czechosłowacją i w związku z tym częste były wizyty starosty na terenie przygranicznym, podobnie jak w koszarach wojskowych

w samym Stryju, gdzie stacjonowały 53. Pułk Piechoty i 1. Pułk Artylerii Motorowej. Starosta obecny był na różnych uroczystościach pułkowych i państwowych, urządzanych w mieście – można go było zawsze zauważyć na trybunie w otoczeniu dowódców wojskowych i notabli miejskich. Brał też udział w licznych imprezach, koncertach, jubileuszach, otwarciach wystaw, poświęceniach budynków użyteczności publicznej lub sakralnych, na zawodach sportowych i innych okazjach. W podobnych celach wyjeżdżał również do innych miejscowości powiatu.

Podczas swej 8-letniej kadencji podejmował starosta różne ważne osobistości. Jedną z bardziej zapamiętanych była wizyta w 1935 r. prezydenta Estonii Paatsa, który odwiedzał najciekawsze miejscowości województwa stanisławowskiego, m.in. Huculszczyznę. Nierzadkie były spotkania wojewodów i starostów w Morszynie, gdzie starosta stryjski występował w roli gospodarza.

S. Harmata lubił Karpaty Stryjskie i ich wspaniałą, dziką przyrodę. Jako zamiłowany myśliwy, bywał zapraszany na polowania, głównie w zimie, na zajęce, dziki, wilki, jelenia karpackiego, a w lasach, należących do bar. Groedłów, w powiecie skolskim (przyłączonym zresztą pod koniec lat 30. do powiatu stryjskiego) – nawet na niedźwiedzia, który w Karpatach Wschodnich nie był zwierzęciem rzadkim.

Z końcem roku 1938 Stanisław Harmata został mianowany naczelnikiem Wydziału Ogólnego w Urzędzie Wojewódzkim w Krakowie (miał do wyboru – Kraków albo stanowisko wojewody w Białymstoku). O jego zasługach jako starosty stryjskiego najlepiej świadczy doniesienie, jakie ukazało się w „Gazecie Stryjskiej” z lutego 1939, pt. *Żegnamy Cię, Panie Starosto!* Napisano tam m.in.: *...odznaczał się obiektywizmem, umiarem, równowagą, unikał drobiazgowości, a szukał prawdy. Toteż zyskał sympatię i szacunek ogółu. Za jego urzędowania powstało w stryjskim 30 kilka szkół, domy ludowe [...], kościółki w Hrebenowie, Podhorodcach i Morszynie...*

Niedługo było mu jednak dane zajmować nowe stanowisko w Krakowie. Nastąpił wybuch II wojny światowej, i jak wielu wyższych urzędników musiał wraz z rodzi-

ną uciekać na wschód, do Lwowa, potem jeszcze dalej, do Brzeżan. Stamtąd jednak powrócił do Lwowa, miasta swoich urodzin, gdzie mieszkała najbliższa rodzina. Po wkroczeniu wojsk sowieckich został z końcem września aresztowany (razem z prokuratorem ze Stryja, H. Wallischem – patrz CL 3/98, s. 34) i osadzony w więzieniu przy ul. Łąckiego. Niestety miał przy sobie różne ważne dokumenty osobiste, które go w oczach NKWD obciążały. Po skróconym trybie przesłuchań przez osławioną *trójkę NKWD*, został skazany na śmierć i rozstrzelany 27 X 1939.

Nie są znane do dzisiaj miejsca egzekucji i pochowania mego Ojca. Dokument, stwierdzający tragiczną wiadomość o jego śmierci, otrzymaliśmy z Moskwy dopiero w r. 1989, a materiały śledcze i z przesłuchania – ostatnio, dzięki staraniom organizacji „Karta” i Polski „Memoriał” w Warszawie.

Można sądzić, że nie wielu starostów w II RP mogło legitymować się takim bogatym, odpowiedzialnym i zaszczytnym przebiegiem pracy w organach administracyjno-politycznych państwa. Był do niej doskonale przygotowany. Wynika z tego, jak wysoki poziom musieli reprezentować ówczesni działacze w tej dziedzinie, wywodzący się ze wschodnich województw Polski, którzy posiadali najlepsze rozeznanie w sytuacji na tych terenach.

W czasie swej pracy urzędniczej Ojciec mój otrzymał szereg odznaczeń i wyróżnień: Krzyże Kawalerski i Oficerski Polonia Restituta, dwukrotnie Złoty Krzyż Zasługi, Medal X-lecia RP, estoński Order Czarnego Orła, kilka odznak honorowych. Był prezesem kilku organizacji społecznych, m.in. oddziału Polskiego Towarzystwa Tatrzeńskiego w Stryju. Otrzymał honorowe obywatelstwo wsi Rajłów w powiecie stryjskim. Pośmiertnie został odznaczony Krzyżem Kampanii Wrześniowej 1939 (Londyn 1985).

WINCENTY HARMATA, ur. 1933 w Stryju (woj. stanisławowskie). Szkoły ukończył w Krakowie, studia na UJ na wydziale Biologii i Nauk o Ziemi. Obecnie jest profesorem nadzw. w Instytucie Nauk o Środowisku UJ. Od 1991 r. jest przewodniczącym Koła Stryjan przy TMLiKPW w Krakowie.

Z prof. Marią Jordan

rozmawia Krystyna Stafińska



Marysiu, po raz pierwszy nasze drogi skrzyżowały się ponad 30 lat temu, kiedy po studiach uzupełniałam wykształcenie w Zakładzie Biologii Akademii Medycznej w Krakowie. Nie przeczuwałam wtedy, że mamy wspólne korzenie stanisławowskie. „Po kądzieli” jesteś łomżanką, „po mieczu” myśleniczką – czy zechciałabyś więc wyjaśnić swoje zaistnienie w Stanisławowie?

Mój Ojciec (Aleksander), rodem z podkrakowskich Myślenic, ukończył studia polonistyczne przed I wojną na Uniwersytecie Jagiellońskim, potem jako feldfobel z cenzusem znalazł się w Kielcach, do których po naszych Legionach w sierpniu 1914 wkroczyły wojska austriackie. Moja Matka (Maria), uciekając z Łomży przed zbliżającym się frontem rosyjsko-niemieckim, również zatrzymała się w Kielcach. Tu właśnie Rodzice poznali się, wzięli ślub w katedrze kieleckiej, a po zakończeniu wojny wyjechali do Stanisławowa, gdzie Ojciec otrzymał posadę polonisty w jednym z tamtejszych gimnazjów i uczył tam do 1939 roku.

Ojciec uważał się za krakowianina, Matka za kresowiankę północno-wschodnią, a ja, urodzona w Stanisławowie, zawsze byłam uczuciowo związana z ziemią stanisławowską. Tam chodziłam do szkoły powszechnej, gimnazjum i liceum, i tam też zdałam maturę według programu szkół sowieckich po ukończeniu dziesięcioletki w 1941 roku.

W Twoich wspomnieniach, drukowanych od 1998 r. w „Królewiczu”, miesięczniku redagowanym przy parafii św. Kazimierza w Krakowie, szczególną uwagę zwracają pełne uczucia opisy wschodnich Karpat. Zapamiętałam fragment z Twojego poematu *Tęsknota za Huculszczyzną: Huculszczyzna barwista, słoneczna, uroczna, Zaślubiona Prutowi, wyrosła wśród szczytów, I zaklęta w przepiękny, cichy hymn granitów!* Czyliż się tylko w moich tak wydajesz oczach?

Przez wiele lat dzieciństwa wakacje letnie spędzaliśmy w naszych Karpatach Wschodnich, których piękno w zupełności zafascynowało moje serce. Jak wielu młodych ludzi w tamtych czasach pisałam liczne wiersze poświęcone urodzie Czarnohory, Jaremca, Mikuliczyna. „Stawę” zdobyłam sobie w czasie pobytu na stypendium w Lozannie w 1958 roku, gdy zapytana przez przedstawicielkę tamtejszej Polonii po wycieczce na Jungfrauojoch, jak mi się podobają Alpy, odpowiedziałam odruchowo i bez namysłu: są piękne, prawie jak nasze Tatry, ale Czarnohora jest piękniejsza...

Wspominasz też, że od dziecka byłaś wychowywana w duchu uwielbienia dla królewskiej stolicy Polski i jej bezcennych zabytków. Kiedy zetknęłaś się po raz pierwszy z Krakowem?

Na kilka lat przed wojną Ojciec postanowił zacząć budowę domu w ukochanych Myślenicach (uważał je za najpiękniejsze miasteczko na świecie!) i od tego czasu zaczęliśmy – ku mojemu głębokiemu żalowi – spędzać częściowo wakacje w Myślenicach. W ten sposób nastąpiło moje spotkanie z Krakowem. 23 sierpnia 1939, w dniu podpisania układu Ribbentrop–Mołotow, byliśmy jeszcze na wakacjach w Myślenicach. Rodzina Ojca starała się zatrzymać nas w Krakowie, Ojciec jednak zdecydował, że jeżeli wybuchnie wojna – w co nie wierzył – on musi być na posterunku w Stanisławowie, gdyż z całą pewnością front zatrzyma się najdalej na Wiśle i Sanie, a na Kresach młodzież musi rozpocząć rok szkolny...

30 sierpnia (była to środa) z psem i jedną walizką pojechaliśmy przepelnionym

pociągiem, na stojąco, do domu. W dwa dni później nastąpił wybuch wojny.

Rozpoczął się koszmar II wojny światowej, a Stanisławów wraz z innymi miastami podzielił okupacyjną gehennę.

Nasze gmachy szkolne zostały przez nas zamienione na lazarety. Ojciec dostał trzymiesięczną pensję, którą mu skradziono w ogonku i zostaliśmy bez zapasów, bez pieniędzy. 18 września Czerwona Armia wkroczyła do Stanisławowa. Były to straszne dni, a zwłaszcza noce.

Dopiero teraz ogólnie znana jest prawda o naszych kresowych przeżyciach, o NKWD, o aresztowaniach i deportacjach w głąb ZSRR, do Kazachstanu, na północną Syberię. Buntowałam się, nie chciałam chodzić do szkoły, ale Ojciec był zdania, że póki szkoły są jeszcze w rękach polskiego nauczycielstwa, należy się uczyć, bo po wojnie Polska będzie potrzebować wykształconych obywateli. Sam zaczął uczyć geografii, gdyż język polski zlikwidowano.

Istotnym elementem polityki okupantów wobec Polaków była walka z inteligencją. W 1941 roku, w początkach sierpnia, do Stanisławowa wkroczyły Wehrmacht i gestapo. W dniach 8–12 sierpnia w Czarnym Lesie pod Stanisławowem dokonano egzekucji na polskim nauczycielstwie i innych przedstawicielach inteligencji. To bardzo bolesna karta w Twoim życiu.

Wojna niemiecko-sowiecka 1941 roku zmieniła wszystko. Rozpoczęła się okupacja hitlerowska, w lipcu aresztowano i rozstrzelano we Lwowie na Wulce profesorów lwowskich uczelni. W Czarnym Lesie pod Stanisławowem rozstrzelano ponad 300 przedstawicieli polskiej inteligencji – nauczycieli, duchownych, adwokatów, handlowców. W masakrze tej straciłam Ojca oraz wszystkich nauczycieli i wychowawców.

Po rozstrzelaniu Ojca prowadziliśmy życie bardzo ciężkie i smutne. Pracowałam w RGO, by uchronić się przed wywiezieniem do Rzeszy. Gdy bolszewicy w 1944 r. przetrwali front pod Brodami, opuściliśmy Stanisławów, zatrzymując się w Myślenicach. Pracowałam tam w fabryce obuwia. Po wkroczeniu Armii Czerwonej przyjechałam do Krakowa. W maju 1945 zaczęła się w moim życiu nowa epoka – krakowska.

Domyślasz się zapewne, że teraz zapytam o Twoją pracę zawodową i osiągnięcia, które pozwoliły Ci przejść wszystkie szczeble kariery naukowej.

Nie chciałam zaczynać życia w powojennej Polsce z maturą sowiecką, więc dzięki znajomej nauczycielce ze Stanisławowa dostałam się do prywatnego liceum im. Kaplińskiej, gdzie szybko nadrobiłam II klasę licealną i zdałam polską maturę. Dostałam się na studia farmaceutyczne na UJ. Po zdaniu egzaminu z biologii na I roku prof. Stanisław Skowron zaproponował mi pracę techniczną w Zakładzie Biologii AM, a po następnym roku zostałam młodszym asystentem. W ten sposób, przechodząc powoli przez wszystkie etapy, zrobiłam doktorat z farmacji w 1949 r. Potem zapisałam się jeszcze na Wydział Biologii i Nauk o Ziemi na UJ – ukończyłam go w 1952 roku. Gdy powstał Zakład Zoologii Doświadczalnej PAN, przesłam tam na etat, poświęcając się badaniom kariologicznym u zwierząt pod wpływem różnych substancji chemicznych. Docentem zostałam po habilitacji na UJ w roku 1967, profesorem w 1972 r.

Przez 17 lat pełniłam obowiązki redaktora naczelnego zakładowego czasopisma obcojęzycznego *Folia Biologica*. Na emeryturę, jako kierownik Zakładu Zoologii Doświadczalnej przy Instytucie Systematyki i Ewolucji Zwierząt PAN, przesłam w 1988 roku.

Napisałaś ok. 60 prac naukowych z zakresu kariologii zwierząt, cytologii, zoologii doświadczalnej i ekologii. Wyjaśnij, proszę, pojęcie kariologii, która Cię tak zafascynowała.

Badania kariologiczne to nowoczesna dziedzina cytologii, poświęcona istocie i strukturze jądra komórkowego, głównie w organizmach zwierzęcych i człowieka. Ilość chromosomów w jądrach komórkowych jest zazwyczaj charakterystyczna dla różnych gatunków, badania te mają więc znaczenie również dla systematyki.

Po przejściu na emeryturę pracowałaś nadal w swojej dziedzinie, zajmujesz się też szerzej pojętą tematyką przyrodniczą. Ostatnio (XI '99) zasiadałaś w honorowym Komitecie sesji chrześcijańskiej etyki ekologicznej pt. „Stworzyciel i przyroda w tradycji myśli europejskiej”.

Relacja bytu i absolutu, czyli właśnie chrześcijańska wizja natury, są mi bliskie. W tej optyce postrzegam człowieka i wszelkie stworzenie. Pięknie wyrażone to zostało przez św. Franciszka z Asyżu. Franciszkańska pokora wobec natury przydałaby się współczesnemu światu, naukowcom i decydom.

Byłaś wychowana w duchu patriotyzmu. Twoje wypowiedzi i działania są nasycone głęboką troską o losy Ojczyzny. W latach osiemdziesiątych żarliwie włączyłaś się w nurt „Solidarności”.

Wybuch „Solidarności” w 1980 r. był przeżyciem i wspaiałym zjawiskiem po epoce komuny. Pracowałam w Komisji „S” przy PAN. Do tej pory nadal należę do Związku, chociaż z powodu mego stanu zdrowia muszę ograniczać działalność związkową. Niezależnie od wszystkiego jednak, etos „Solidarności” jest zawsze dla mnie wspaiałym zjawiskiem w Narodzie.

Po raz drugi spotkałyśmy się, ku obólnemu zaskoczeniu, w listopadzie 1989 r. Przy krakowskim oddziale Towarzystwa Miłośników Lwowa powstało wtedy Koło Stanisławowian. Właśnie szczęśliwie ob-

chodzimy jubileusz dziesięcioletniej działalności. Ty, przez te wszystkie lata jesteś sekretarzem, a ja mam zaszczyt przewodniczyć naszej wspólnocie stanisławowskiej. Stąd przyjemność przeprowadzenia z Tobą tej rozmowy. Nasza działalność to m.in. ponad 100 spotkań ogólnych Koła i ok. 150 zebrań zarządu. Jakie znaczenie mają dla Ciebie te kontakty?

Kiedy z moją Matką w 1945 roku przybyłam do Krakowa, ciężko nam było, zwłaszcza na początku, żyć się z ludźmi. Często nawet zastanawiałam się nad przyczyną tego zjawiska, bo przecież Kraków to prastara kultura narodowa, to życie oparte o wartości Bóg-Honor-Ojczyzna, które również i dla nas są wartościami wiodącymi. Dopiero po latach zrozumiałam, że różnice w stylu życia wynikały z niepowtarzalnej, jedynej, zrozumiałej tylko dla nas atmosfery kresowej. Gdy przed 10 laty nawiązałam kontakty z ludźmi z Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, w naszym Kole Stanisławowian, zrozumiałam to dokładnie. Wyjaśniły mi te różnice dopiero spotkania z kresowianami, wspólnota wspomnień – najczęściej tragicznych – specyficzny humor, zwyczaję, nostalgia kresowa – owe filary przyjaźni, wiążące ludzi często bardzo nawet różnych wiekiem czy kondycją.

ANEGDOTA (autentyczna)

Z początkiem lat trzydziestych przybył do Stanisławowa ks. Eugeniusz Baziak, nowo mianowany proboszcz w naszej kolegiacie. Urzędowanie swoje rozpoczął od kurtuazyjnych wizyt u parafian, zapowiedział się więc także do nas. W tym uroczystym dniu cały dom czekał z napięciem na czcigodnego Gościa. Ubrana odświętnie siedziałam w salonie na skraju kanapy, a szczeniak Bom został przez Babcie przezornie zamknięty w kuchni, bo nigdy nie można było przewidzieć, jaki pomysł zrodzi się w jego szczenięcej głowie. W czasie wizyty, gdy wniesiono już serwis herbaciany i toczyła się interesująca rozmowa – w pewnej chwili twarz Mamy nabrała purpurowego koloru i mrugnięciem oka wskazała mi coś, od czego włos mi się zjeżył na głowie: spod sutanny proboszcza wypływała duża kałuża, tworząca na dywanie szybko powiększającą się plamę. Oto Bom, korzystając z nieuwagi, wymknął się z kuchni, prężylnie omijając Babcie, przed którą miał res-

pekt, wśliznął się pod fotel księdza i za parawanem sutanny usnął. W czasie snu przytrafiło mu się coś niestosownego. Wstałam więc i zaczęłam wyciągać psiaka z jego kryjówki, a wtedy ksiądz proboszcz nachylił się poufnie do mnie i z porozumiewawczym uśmiechem szepnął: *nie bij go, Marysiu, niech będzie, że to ja...*

Później nasz proboszcz poszedł do Lwowa w *biskupy*. W czasie wojny i w pierwszych latach PRL wiele przeżył. Wreszcie w latach 50. uczestniczyłyśmy z Mamą w uroczystym ingresie arcybiskupa Baziaka na Wawel. Po latach Ojciec Święty Jan Paweł II nazwał go *Biskupem-Wygnańcem-Bohaterem*.

Ilekróć jestem w katedrze wawelskiej, skręcam w lewą nawę, by odwiedzić swego Proboszcza-krajana. Wówczas, modląc się za niego, zawsze z tkliwym uśmiechem przypominam sobie owo pierwsze i ostatnie z nim spotkanie – z Bomem w tle.

Maria Jordan

Myślę, że charakter kresowy powstał na drodze ewolucji przez wieki na terenach, gdzie działały różne warunki narodowościowe, religijne, zwyczajowe, i to pozwalało nam przetrwać na ukochanych ziemiach.

Wielokrotnie już organizowaliśmy wyjazdy do Stanisławowa. Nas, związanych z tamtą ziemią, gna tam jakaś tajemna siła, różnie zwana – tęsknotą, nostalgią, sentymentem, radosnym wspomnieniem dzieciństwa, potrzebą serca etc. Wracamy tam – jak tylko to możliwe – nie tylko myślami, ale i fizycznie. Dlaczego Ty tak stanowczo odmawiasz uczestniczenia w naszych peregrynacjach?

Przez wszystkie lata moje myśli krążyły nad krajem dziecinnych snów. Ze szczególną tęsknotą myślę zawsze o pięknie naszego krajobrazu, atmosfery, kultury. Wpłynęły na to jednak doświadczenia mojej Matki, która załamała się, zobaczywszy Łomżę po 40 latach, i otworzyła mi oczy, że psychicznie nie będę mogła znieść widoku miasta dzieciństwa, zbezczeszczonego przez barbarzyńców. Wolę, by wspomnienia zostały w mej duszy bez zmian. Ponadto okrutne czasy okupacyjne zbyt dużo mnie kosztowały, by do nich wracać. Natomiast całą tamtą ziemię otaczam stale modlitwą.

Kochasz Stanisławów, co dokumentujesz nieustannie. Ale od zakończenia wojny osiedliłaś się w Krakowie. Jesteś związana z nim na dobre i na złe. Czy Twoje uczucia nie są w rozterce?

W 1997 roku, w czasie powodzi, gdy zobaczyłam w telewizji rozszalałą Wisłę, rozbryzgującą się o skały pod Wawelem, ze wzruszeniem zrozumiałam, że też kocham Kraków, jego mury, jego piękno, pojęłam ile mu zawdzięczam i czym on jest dla mnie.

Bardzo Cię szanuję i cenię, więc ucieszyłam się, że wyraziłaś zgodę na spotkanie z Czytelnikami „Cracovii-Leopolis”. Dziękuję Ci za rozmowę i – *pro domo sua* – za dziesięcioletnie sekretarowanie w Kole Stanisławowian, za wsparcie moralne i przyjaźń. Wiem, że lubisz wiersze ks. Jana Twardowskiego, pozwól więc, że zakończę to nasze spotkanie jego słowami: *Można kochać i chodzić samemu po ciemku, z przyjaźnią jest inaczej – ta zawsze wzajemna.*

KRYSTYNA STAFIŃSKA, ur. w Stanisławowie. Szkoły ukończyła w latach powojennych w Krakowie, studia na Akademii Medycznej i Uniwersytecie Jagiellońskim. Pracuje jako histochemik i cytolog. Od 1989 r. jest przewodniczącą Koła Stanisławowian przy krakowskim oddziale TMLiKPW.

NOSIA



Dzięki uprzejmości i serdeczności Dy-

rekcji Muzeum Przyrodniczego PAN w Krakowie Koło Stanisławowian przy oddziale TMLiKPW spotyka się w lokalu tego Muzeum przy ul. św. Sebastiana 9.

W pobliżu sali, w której się zazwyczaj gromadzimy, zamieszkała od niedawna „Nosia”. Została tu przeniesiona z poprzedniego lokalu Muzeum w gmachu PAN przy ul. Sławkowskiej, gdzie od 1929 r. prezentowała się jako unikatowy, jedyny na świecie i nadzwyczajnie zachowany egzemplarz nosorożca włochatego, znaleziony w pokładach wosku ziemnego w Staruni, w ziemi stanisławowskiej.

Nosia jak przystało na stanisławowiankę, jest piękna i – co widać na zdjęciu –

Nosorożec włochaty (*Coelodonta antiquitatis*), żył 30 tys. lat temu. Okaz, jedyny na świecie w całości zachowany, znaleziony w Staruni w ziemi stanisławowskiej w 1929 r. Przechowywany w Muzeum Przyrodniczym w Krakowie

uśmiechnięta, ma dorodny róg i zgrabne nóżki. Jest oczywiście symbolem Muzeum Przyrodniczego PAN, a zazdrośczą nam jej w wielu krajach.

Nosia pochodzi spod Stanisławowa, a więc od urodzenia do śmierci świeciło jej takie samo słońce jak nam. I wtedy – gdy na wieki pogrążała się w rodzimych pokładach, które ją tak świetnie dla nas przechowały. Nie wypada wprawdzie – gdy mowa o osobie płci pięknej – wspominać o wieku, ale skromnie licząc, Nosia ma już za sobą około 30 tysięcy wiosen. Czyż więc nie należy się jej tytuł „najstarszej stanisławowianki świata”?

Maria Jordan

POEZJA

Bogusław Żurkowski
STANISŁAWÓW. MGLA

Znad rzeki zwanej Bystrą nad rzekę Powolną.
Z lasów wilgotnych ku białym polom.

Ze wzniesień wieczystych ku wulkanicznej górze.
Z wyrazistej ścieżki ku wieży klasztornej w chmurze.

Z pamięci zmienionej w pył ku miejscu wyniosłemu,
Gdzie święty Wojciech kazał ludowi onemu.

Miasto z mgły. Czas święty zawsze we mgle –
W nim będą moje dawne noce i dnie.

Rzeka znowu jest bystra, nie namolna.
A las – czarnozielony tu, gdzie białe pola.

Moje wzniesienie jest wieczyste, nie wulkaniczne.
W łągach wiją gniazda same słowiki.

A tam, gdzie dziecko rysuje białe kreski,
Przechadza się, patrząc w ziemię, Stanisław Wasylewski.

BOGUSŁAW ŻURAKOWSKI, ur. 1939 w Stanisławowie. Profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, prezes krakowskiego oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Wydał 10 tomów poetyckich, m.in. *Grudy ziemi* (1966), *Światłocień* (1997). Otrzymał wiele wyróżnień i nagród literackich, m.in. wyróżnienie Federacji PEN Clubów w Londynie (1965), Nagrodę Literacką im. S. Piętaka. Jego utwory były tłumaczone na język niemiecki, czeski, hiszpański, rosyjski.

POETA POWSTANIEC

**Maria Klara
Bohomolec**



Mieczysław Romanowski

Niedawno minęła 135. rocznica wybuchu Powstania Styczniowego, z którym Małopolska Wschodnia – choć pod innym zaborem – związała się mocno i pamiętnie. Z tej też bowiem dzielnicy podążały setki młodych ludzi, by walczyć o wolność podzielonej ojczyzny – i zginąć na mazowieckiej, lubelskiej czy kieleckiej ziemi. A nieco później do Lwowa i innych miast i wsi wschodniomałopolskich przybyły setki żołnierzy, ratując się przed Sybirem i katorgą. Pozostała po nich kwatery powstańcza w najwyższej części cmentarza Łyczakowskiego.

W 1998 minęła również 135. rocznica śmierci poety-powstańca, Mieczysława Romanowskiego (i zarazem 165. rocznica jego urodzin). W trzydziestoleciu 1833–1863 zamyka się niedługo, lecz godne i twórcze życie syna ziemi kołomyjskiej, urodzonego w Żukowie. Jego ojciec, Emeryk,

dzierżawił ten majątek od swych krewnych Dzieduszyckich. Brat Mieczysława, Emeryk junior, gospodarował w pobliskim Żukocinie, drugi brat Konstancy w Piotrkowie nad Dniestrem, a siostra Józefa Skwarczyńska w Kośmierzynie – wszystko to Pokucie. Jeden z braci został księdzem – był wikarym w Złoczowie i we Lwowie, a w końcu proboszczem w podlwowskim Janowie.

W 10 roku życia Mieczysława oddano do gimnazjum w Stanisławowie. Jako 15-letni sztubak zetknął się po raz pierwszy ze sprawą niepodległościową, w czasie rozruchów, które – jako echo Wiosny Ludów – nie ominęły również Stanisławowa. Nie zdał niestety matury w swoim gimnazjum, powtórzył ją dopiero we Lwowie w 1853 r. tak chwalebnie, iż otrzymał stypendium Zakładu Ossolińskich i podjął studia prawnicze (stypendium zobowiązywało do kilku godzin pracy dziennie w Zakładzie). W tym samym czasie zaczął drukować swoje młodzieńcze wiersze w lwowskich czasopismach.

We Lwowie zetknął się Romanowski z młodymi ludźmi, którzy w przyszłości mieli stać się wybitnymi przedstawicielami polityki i kultury: swymi imiennikami Dzieduszyckim, Pawlikowskim i Kamińskim (synem Jana Nepomucena – wielkiej postaci lwowskiego teatru), Ludwikiem Wolskim, Adamem Pajgertem, wchodząc w ten sposób w środowisko ambitnej młodzieży. Życie kulturalne Lwowa toczyło się w tamtych czasach nieoficjalnie, lecz intensywnie. Miejscami spotkań były domy prywatne: znane salony literacko-artystyczne związane były z nazwiskami Stanisława Pilata, Leonii Wildowej, Felicji i Tadeusza Wasilewskich, Jana Dobrzańskiego, życie społeczne zaś koncentrowało się w Towarzystwie Agronomicznym, gdzie przewodził Leon Sapieha. W salonach tych bywali ludzie, których nazwiska nosiły potem lwowskie (i nie tylko lwowskie) ulice: A. Bielowski, W. Pol, K. Ujejski, J. Dzierzkowski, J. Supełski, K. Szajnocha, J. Zachariasiewicz,

uczeń Chopina K. Mikuli. Romanowski zbliżył się szczególnie do Kornela Ujejskiego i liczył się z jego krytyką, bywał u niego w Podlipcach k. Złoczowa. Miał kontakt z W. Syrokomlą i T.T. Jeżem. Odwiedzał Medykę Pawlikowskich.

W lwowskich salonach spotykano też młodzież, wcześniej dojrzewającą intelektualnie. U Felicji Wasilewskiej bywały jej uczennice, słynne później *klaudynki* – Zofia Romanowiczówna, Julia Dzierżanowska i Wanda Dybowska – ta trzecia była przedmiotem afektu poety, lecz wyszła potem za Franciszka Longchamps. Stan ducha Mieczysława w owym czasie ilustruje taki wiersz:

*Spojrzenia twego!... nieba chcę raz
jeszcze!
Dłoń podaj! – szczęście moje miałaś
w ręku,
A teraz żegnaj! żegnaj! ja ból
zmieszczę
W sercu jak miłość; patrz! idę bez
lęku
– Idę i serce już się nie pokusi,
O nie... i wiem to, że drogi dokonam,
Co mi nie dało szczęścia – ból dać
musi!
Potem zdobędę spokój – potem
skonam.*

Wiele lat później Z. Romanowiczówna pisała o Romanowskim:

Nie był piękną męską w całym znaczeniu tego wyrazu, ale uroda jego była jakąś taką swojską, miłą dla oka i sympatyczną. Był to prawdziwy typ słowiański. Wzrostu więcej niż średniego, cery bardzo świeżej, rysy miał nieregularne, lecz kształtne, usta bardzo pełne i pąsowe, żywy rumieniec, oczy szafirowe pełne blasku, włosy ciemnoblonde, bujne, kędzierzawe... Głowę nosił wysoko. Uderzał w niej wyraz owej pewności siebie [...] na jasnym ładnie sklepionym czole leżała zaduma, w oczach błyszczał zapal, często natchnienie. Mówił żywo i dość był mówiący, ale nie zanadto; śmiał się łatwo i serdecznie, niemal dziecinnie; skłonny był nie do smutku, lecz do rzewnej słowiańskiej zadumy i tęsknoty. Pamiętam, że Szujski zarzucał mu, iż jest zawsze na koturnie, ale to nie było słuszne – ja, co go znałam tak dobrze, powiem raczej, że był zawsze poetą, w każdej chwili powszedniej czy uroczystej, poetą w uczuciu i myśli, w patrzeniu na świat i w sławie, ale było

to tak szczerze, pełne prawdy. Lubił życie, towarzysztwo, naturę, lecz patrzył na nią jakoś inaczej, po swojemu, nie szukał w niej sztucznie nastrojów i nie wyrzeźbiał wykwintnie szczegółów, nie melancholizował na jej temat, ani wreszcie nie widział jej nigdy ze strony brutalnie realistycznej. Brał ją z prostotą i czystością dziecka, cieszył się nią, zachwycały go jej czary, ale jakoś zdrowo; koita go ona albo porывała w górę. Była to natura dziwnie zdrowa i świeża, bujna a czysta, bogata, silna. Wielką miał wiarę, wielki hart woli, a panującym w tej duszy był entuzjazm.

Młodzi ludzie tamtego czasu zawsze marzyli o wyzwoleniu, o wskrzeszeniu Polski. Łączyli to z dobrobytem narodu, nie akceptowali wyzysku, charakterystycznego dla owej epoki. Romanowski pisał:

*Przekleństwo cywilizacji!
Nowe ona tworzy kasty,
Murzynami robi braci –
Oto wiek nasz dziewiętnasty!*

(w 150 lat później, na przełomie XX i XXI wieku mamy podobne odczucia).

Kres epoki szlacheckich pięknoduchów przyniósł przełom lat 50/60. Sukcesy Garibaldiego w walce o wyzwolenie i zjednoczenie Włoch rozbudziły nadzieje w całej Polsce. Z Kongresówki, potem i z Galicji podążyli do Italii ochotnicy. Nie doszło jednak do wyprawy lwowskich zapaleńców (na skutek donosu), ale ziarno zostało posiane. Do Lwowa napływały wieści z Królestwa o radykalizujących się nastrojach wśród młodzieży. Po wydarzeniach w Warszawie w lutym 1861 Romanowski pisze:

*Kornie gniemy w proch kolano.
Bądź pochwalon krwią rozlaną!
Wnet mściciele z krwi tej wstaną,
A ty grom nam w ręce dasz,
Boże nasz!*

W tym czasie Romanowski zapalał miłością do Modesty Krasnopolskiej z nieodległych od Żukowa Potoczysk. Przez jego życie przewijało się wiele obiektów afektu, jednak bez sukcesu dla poety. Tym razem jednak wydawało się... Na Boże Narodzenie 1862 r. spotkał się z nią w Medyce. W miesiąc później, gdy w Kongresówce trwało już powstanie, napisał:

*Módl się za nas, lilio biała!
Bogu poleć serca żal;
Tyś powstańca pokochała –
Pobłogosław stal!*

W stronę granicy, w 30 osób – przeważnie młodzieży rzemieślniczej i gimnazjalnej – wybrali się 1 lutego 1863. Złapano ich pod Żółkwią, osadzono w więzieniu karmelitańskim we Lwowie. Romanowskiego uwolniono po pięciu tygodniach, ale w parę dni później wyruszył do powstania powtórnie. Wedle relacji dostał się do oddziału Lelewela-Borelowskiego, sformowanego w Medyce. Granicę przekroczyli w okolicy Tarnobrodu. Złe przeczucia podktywały poecie taki wiersz:

*Więc o śmiertelne prosim was koszule,
O garść ołowiu i stali,
I o krzyż, bracia! o serdeczne słowo
Na naszą drogę grobową.*

Stanęli w Roztoczu, nad Tanwią, i tam stoczyli pierwszą bitwę. Potem poszli przez Rebizanty do Józefowa – po śmierć. W bitwie stoczony 24 kwietnia pod Józefowem Biłgorajskim zginęła większa część oddzia-

łu. Należał do niej poeta Mieczysław Romanowski.

Nie jest znane miejsce wiecznego spoczynku Romanowskiego i jego towarzyszy. W zakątku cmentarza Józefowskiego jest nieznaczna wypukłość, uważana za mogiłę powstańcą. Postawiono na niej skromny pomniczek.

* * *

W Polsce Odrodzonej I Państwowe Gimnazjum w Stanisławowie otrzymało imię Mieczysława Romanowskiego.

Poezje i inne utwory Romanowskiego wydawano w ciągu stu lat parokrotnie, napisano też o nim i wydano wiele prac. Po II wojnie – wedle naszej wiedzy – ukazały się tylko dwie książki:

Konrad Bartoszewski, *Mieczysław Romanowski. Poeta powstaniec*. Państw. Instytut Wydawniczy, Warszawa 1968.

W promieniu Lwowa, Żukowa i Medyki. Listy Mieczysława Romanowskiego 1853–1863. Opracowali Bolesław Gawin i Zbigniew Sudolski. Państw. Instytut Wydawniczy, Warszawa 1972.



Śmierć M. Romanowskiego. Drzeworyt F. Tepey

WAKACJE NAD PRUTEM

*Po co ja piszę te wiersze?
Nikt mi nie kazał – nie muszę!
Lecz piszę, bo gdzie wyśpiewam
serce i duszę?...*

Przez wiele lat spędzaliśmy dwumiesięczne wakacje w dolinie Prutu. Zwykle po Wielkanocy Rodzice udawali się tam, by zamówić u Huculów mieszkanie, a potem w pierwszych dniach lipca wyruszaliśmy w drogę. Przez Stanisławów przejeżdżały liczne pociągi z całej Polski, ponieważ Jaremcze i Worochta były chętnie odwiedzane przez letników z całego kraju. Pociągi były punktualne i o określonych godzinach dudniły na moście w Chryplinie na Bystrzycy Nadwórniańskiej. Ojciec – gdy siedział wieczorną porą na naszym balkonie przy ul. Kazimierzowskiej, słysząc pociąg relacji Worochta-Lwów – wstawał i mówił: Już dziewiąta dziesiąt – czas iść spać...

Dolina Prutu była cudownym zakątkiem: otoczona wysokimi, zalesionymi górami, ugrupowanymi nad malowniczo ukształtowanym korytem rzeki. Ze Stanisławowa, odległego od Worochty o 120 km, jechało się najpierw po równinie podkarpackiej z niezapomnianym widokiem na pasma Gorganów i Czarnohory, które zbliżały się w miarę szybkiego posuwania się pociągu. Mijając Nadworną, która – już otoczona górami – leży w kotlinie, linia kolejowa wznosi się na dział wód między Bystrzycą a Prutem, i z tego wzniesienia, zataczając piękny łuk i mijając Lubiżnię, pociąg wjeżdża na pierwszy ze sławnych kamiennych wiaduktów, które będą nam towarzyszyły do końca drogi. Te mosty, powstałe jeszcze za czasów austriackich, lecz przez polskich inżynierów stworzone, odznaczały się czystą linią oraz długością i wysokością śmiałych łuków. Stały się one przed wojną symbolem Huculszczyzny. Gdy w latach 50. spędzaliśmy z Mamą wakacje w Wiśle-Dziechcince, codziennie prawie szliśmy do aż do Wisły-Głębiec, bo tam znajduje się jakby miniaturka *naszych* mostów huculskich,

o podobnej kamiennej konstrukcji. Siadaliśmy przed nim i patrzyły...

A więc za Lubiżnią wjeżdżało się na most w Delatynie. Delatyn był bramą do Huculszczyzny – już widać było rozsiane *grązdy* huculskie. Do dziś pamiętam, z jakim podziwem patrzyłam na burzliwą rzekę pod wysokim, wielopiętrowym mostem delatyńskim, który łagodnym łukiem skręcał w lewo.

.....
*Wolne, klasyczne, kamienne łuki,
to pną się w górę, to znów w dół się
kłonią...*

*A rzeka huczy – gromkie, głucho
huki*

*Po kamienistym żwirze cudnie
dzwonią...*

.....
*Jedziemy dalej – most już
przejechany...*

*A przed nami wśród szczytów
Huculszczyzna woła...*

(Delatyn, 1936)

Przejechawszy most w Delatynie, jechało się dalej doliną Prutu i mijano kolejne miejscowości, ukryte w zgrupowaniach gór o niepowtarzalnym uroku! Dora – wieś huculska i letnisko, miejsce wypadowe do interesujących szlaków turystycznych. Jaremcze, wtedy zwane po cichu *Jarmułem*, z uwagi na wielkie skupiska letników żydowskich, a dalej, przez najwspanialszy z kamiennych mostów, obok wodospadu i Kamienia Dobosza, dojeżdżało się do Jamny – aby pokonać się bardzo oryginalnemu wodospadowi:

.....
*nad gościńcem wyniesiony
wyrasta skalny zwal...
A po ścianach owych zboczy,
Wstęgą wody cudnie łśni...
I kaskady jasne toczy*



Kamienny most kolejowy w Jaremczu (nie istniejący)

*Cud – Kapliwiec, sen przeźroczy
I w promieniach słońca drży...*

(Jamna, 1938)

Podobno obecnie wodospad Kapliwiec już nie istnieje, tak jak wiadukt w Jaremczu...

Po Jamnie, przez tunel, pociąg wjeżdżał na maleńką stacyjkę Diłok – miejscowość pięknie położoną nad Prutem, wspaniałą bazę letniskową u Hucutów. Tu zawiązywały się z nimi przyjaźnie. Moim przyjacielem był Dziadek Hundziak, który pykając długą fajką, opowiadał mi rozmaite historie.

Największą przyjemnością było oczekiwać na stacji Diłok na pociąg, najpierw dudniący w tunelu, a następnie wyłaniający się z zadymionego otworu i z sapaniem zatrzymujący się na przystanku. Wtedy wszyscy – zarówno stojący na peronie, jak ci z okien wagonów – jak na komendę, wśród śmiechu, zaczęli wykrzykiwać tajemnicze słowo *Hules – Hules*. Tak się działo na wszystkich stacjach i stacyjkach w dolinie Prutu – było to pozdrowienie, przywitanie i pożegnanie podróżnych, mające swoją legendę. Oto dawno temu pewna Żydówka oczekiwała w Jaremczu na

przyjazd ze Lwowa swojego męża Hulesa, ale on jakoś nie kwapił się z powrotem. Ona więc wychodziła codziennie do wszystkich pociągów i biegła wzdłuż wagonów, wołając jego imię: *Hules! Hules!* Okrzyk był podejmowany przez rozbawionych podróżnych, i tak się przyjęło na lata.

Diłok miał charakter klasycznej wsi huculskiej:

*... I tak tu cicho, tak dostojnie,
chatki huculskie śpią spokojnie
na szczycie górskich łąk...*

(Diłok, 1936)

W nocy Diłok miał swoisty urok. Nieraz siedzieliśmy na *pidganiu* huculskiej *graždy* i patrzyliśmy w letnie niebo:

*...Ciemno! Ciche we mgłę stoją
popodniebne góry.
Już szerniały, zmatowiały
przedwieczorne chmury...
Ciemno! Cicho, gdzieś hen – w górze
błyska światło małe.
To huculskie gdzieś domostwo
w górach zabłąkane...*

(Diłok, 1936)

Bardzo często przechodziliśmy przez most na Prucie w kierunku Mikuliczyna. Dalej szło się gościńcem, mijając pensjonaty, a w głębi w lesie widać było sanatorium przeciwgruźlicze Uniwersytetu Lwowskiego. Roześmiani, weseli studenci nadawali życiu Mikuliczyna charakter beztrioski. W niedzielę, śpiewając, szli gromadą do centrum, gdzie obok siebie stały dwa kościoły: rzymskokatolicki, gdzie zbieraliśmy się na nabożeństwach, i stara drewniana cerkiewka greckokatolicka.

W latach gdy przenieśliśmy nasze „wakacyjne leże” do Mikuliczyna, musieliśmy zawsze brać ze sobą naszego Bomcia, który zwykle po 10 minutach samotności w pensjonacie zaczynał wyć. Chodził więc z nami na msze święte, i przywiązany przy stylowym płocie u wejścia do kościoła, czekał tęsknie. Mieliśmy „dyżury” – każde z nas wychodziło kolejno na zewnątrz, by serce psie zadowolić. Kiedyś, przy końcu wakacji, biskup połowy WP, ks. Józef Gawlina, który w tym czasie codziennie odprawiał msze, dziękował letnikom za tak liczne uczestnictwo w nabożeństwach, zwracając się szczególnie w kierunku tych rodzin, które przychodziły nawet z żywym inwentarzem. Powiedział to tak ciepło i serdecznie, że dostaliśmy oklaski zgromadzonych wier-

nych. Obie z Mamą byliśmy purpurowe, a Ojciec bliski zawatu!

Gdy mieszkaliśmy w Mikuliczynie, czasem po *Słudźbie Bożej* w cerkiewce wpadał do nas stary Hundziak i prowadził dalej ze mną „rozmowy literackie”. Od niego dowiedziałam się na przykład, że salamandry nie rodzą się z jaj (!?), jak inne *hadziuki* (gady, płazy), ale powstają z ognia i dlatego mają na ciele plamy krwiste lub pomarańczowe.

Niedawno wykorzystałam ten wątek w czasopiśmie Rady Naukowej w Krakowie, w której uczestniczyłam jako recenzent pracy naukowej nad rozrodem salamander. Widząc, że za chwilę doktorant padnie trupem z emocji, opowiedziałam niewinnie legendę o powstawaniu salamander. Okazało się, że część członków Rady to kresowianie, znający tę bajkę. Zaczęła się krótka dyskusja na temat piękna Huculszczyzny i kultury huculskiej, co pozwoliło doktorantowi zebrać zmysły do przebrnięcia dalszych etapów przewodu doktorskiego.

Inną huculską legendą starego Hundziaka było opowiadanie o Niesamowitym Jeziorku pod Turkułem (a legendę tę znalazłam potem w literaturze):

Jezioro Niesamowite jest czarne, jak oko potwora. W czarnym zwierciadle widać się góry. Lecz ptak się przejrzeć w nim

Worochta (widok przedwojenny)



boi. Jezioro jest szczególnie straszne w noc burzliwe, gdy widać w nim podobno:

*Stwory straszliwe i fale się przelewają
– Mówią Huculi z nabożnym strachem,
Kładąc trzy krzyże na siebie.
I gdy bezpieczni pod grażdy dachem
– Że diabeł tam dusze grzebie...*

W taką noc, według Hundziaka:

*Jest jednak sposób na jego tany,
By ściszyć jęki i zgrzyty,
By umilkł cichy i zasłuchany –
Wystarczy zadać w trombity...*

Wówczas Didko podobno pokorniej, jezioro cichnie. Korzystając z zastychnięcia Didka, należy trombitę zanurzyć w jeziorne wody.

*Takie trombity grają najrzewniej,
O cudzie gór granitowych.
Takie trombity głoszą najrzewniej
O tajemnicach szczytowych.*
(Mikuliczyn, 1937)

Bo trzeba wiedzieć, że na Huculszczyźnie gorliwa modlitwa, różnobarwna, bogata w liturgiczną oprawę religijność, o krok tylko sąsiaduje z tradycyjną, wkorzoną głęboko magią, zabobonami. Na każdym kroku Huculi wierzą w nadziemskie siły, które tylko dybią na ich losy. Niektórzy Huculi, a zwłaszcza kobiety, trudnią się znachorstwem, ziołolecznictwem, „zamawianiem” chorób. Myślę nawet, że i teraz, po upływie tylu lat, ciągle jeszcze te praktyki żyją na Huculszczyźnie.

Mikuliczyn miał charakter bardziej letniskowy, w centrum były sklepy, obok kościołów restauracja, był też Mikuliczyn bazą wypadową, z której urządzano wycieczki na pobliskie szczyty, krótsze spacerunki w kierunku Podleśniowa, Żeńca, Tatarowa. Upalne dni spędzano nad Prutem.

Pрут, rzeka mego dzieciństwa, ciągle inny, zawsze urzekający, mający różne oblicza, w zależności od pogody, pory dnia, wiatru...

*Zanurzam się w chłodne fale, kręgi się złote i srebrzyste toczą,
I kropelkami dzwonią wspaniale, i powracają tęczą przeźroczą...*

Czasem się przedrze słońce poprzez wodę i obejmie pocałunkiem żwiry,

*Czasem się fala wyrwie na swobodę i bijąc w kamień, na kształt szemrze liry,
Czasem od liści drzew starych na brzegu padnie cień szary, ponury i czarny.*

Wtedy się wody zaciemnią w swym biegu, to znowu błysną, jak błękit w dzień parny,

Duże i małe kamienie szarawe piętrzą nad sobą kaskady pstrej wody.

Czasem od słońca błyszczą się złota-we. I cicho lecą muszek korowody...

(Mikuliczyn, 1937)

Ale poznaliśmy także potęgę i śmiertelną siłę Prutu w 1934 roku, gdy po kilku lipcowych ulewach wystąpił z brzegów, porwał chałupę, w której mieszkaliśmy, zaczęła się powódź. Wówczas Huculi uratowali nas od pewnej śmierci. Pamiętam, że w czasie tej akcji nie nazywali rzeki po imieniu – mówili cicho: *pane, ON idzie...*

Gdy z Mikuliczyna szło się w kierunku Tatarowa, mijając Podleśniów – przystawaliśmy oniemiały z podziwu, widząc przed sobą poprzez dolinę Żeńca, malowniczy, niepowtarzalny zespół szczytów: Chomiak, Syniak, Gorgan. Szczególnym, dziecinnyim uczuciem darzyłam Chomiak – piękną, rozłożystą piramidę, widoczną nawet, przy sprzyjającej pogodzie (zwłaszcza zimą), z okien naszego mieszkania w Stanisławowie. Szczytowi temu poświęciłam kilka wierszy, przekazując mu wiele ciepłych słów:

*Gną się w głuchym pędzie drzewa,
Śnieg stopiony wiatr rozwiewa,
Pędzą zwały chmur.
Dech zapiera czyste tchnienie,
Słychać głuche drzew westchnienie,
Pędzi wiatr od gór.
Chomiak groźny, zadumany,
Mrukiem rozgrzmi swoje ściany
Pośród śnieżnych skał.
I śnieg zrzuci z swego szczytu,
I wyciągnie łeb z granitu
Jakby duszę miał. [...]*

(Połoninny wiatr,
Stanisławów, 1938)

Chomiak szczególnie piękny był od strony Jabłonicy, a zwłaszcza z przełęczą



Jabłonickiej, inaczej zwaną Tatarską, gdzie często podejźdżaliśmy dorożką, a czasem wchodziliśmy od strony Woronienki. Nieco dalej widok był jeszcze rozleglejszy. Tam –

*Z przełęczы Tatarskiej, cóż za
bezmiar przestrzeni,
Aż giną, aż się gubią nasze małe
oczy...*

*Tu Howerła odcina kontur swoich
zboczy,
Tam Pietros jeży ostry rys grzebieni...
A Bliźnica łańcuchem w białych
grzęźnie chmurach
I topi szczyt wysoki w błękitnych
lazurach...*

*Ówdzie na jakichś szarych rozpadli-
nach, zboczach
Śnieg widać jeszcze biały, jasną
plamą leży...*

*Horyzont znikł. Wzrok mój za
łańcuchami bieży,
Ciągłe nowe widać – mgła je kryje
przeźrocza...*

*W tym przestrzeni bezmiarze
człowiek się zatracą.
Żał mi tylko, że muszę już w dolinę
wracać...*

(Przełęcz Tatarska, 1938)

Wakacje w 1939 roku spędziliśmy nad morzem. 17 września weszli do nas So-

wieci, zaczęła się straszna okupacja bolszewicka, potem hitlerowska. Umiłowany łańcuch – Czarnohora i Gorgany, widoczne z naszych okien, stały się granicą między nami a wolnością – tam byli „nasi chłopcy”. Byliśmy odcięci od świata, ale wierzyliśmy, że nasze dywizje wejdą, odbiją nas. Napisałam wiersz, zwracając się do gór z wyrzutem:

*Po co mam tęsknić do was, góry,
spoglądać w wasze białe skronie?
Po to, by widzieć poza wami
wolność, co już nie dla nas płonie?
Po co ma rwać się moja dusza
do was, na wierchy i szczyty?
Po to, by jęk odnowić w uszach
i kraj zobaczyć krwią pokryty? [...]*

(Stanisławów, 1941)

Od Redakcji: Swoje serdeczne wspomnienie o wakacjach spędzanych przed wielu laty na Huculszczyźnie Autorka ubarwiła własnymi młodzieńczymi wierszami. Nie wszystkie z nich zapewne usatysfakcjonują dziś swoją formą, ale na pewno autentycznym zachwytem nad pięknem tamtych utraconych stron. Niech jednak o poetyckich możliwościach Autorki zaświadczy piękne *motto*, otwierające powyższe opowiadanie.

Notkę biograficzną Autorki zamieściliśmy w CL 2/96.

Wspomnienia o widzianych miastach odświeżamy najczęściej oglądając ich fotograficzne zdjęcia. Sięgamy po krajoznawcze przewodniki. Ale więcej od nich lubimy chyba pamiętnikarskie relacje, które ukazują nie tylko architekturę i zabytki miasta, lecz jakby je ożywiają i odtwarzają ich atmosferę.

Liczni stanisławowianie z pietyzmem przechowują i oglądają ilustracje swojego miasta, które przed dziesiątkami lat musieli opuścić, a wędrując myślą po jego ulicach, starają się przypomnieć sobie, jak tam dawniej wyglądało. Wtedy, gdy oni sami byli bardzo młodzi, chodzili jeszcze do szkoły, patrzyli na wszystko własnymi, ciekawymi oczami. Do tych stanisławowian i ja należę. A tym, co pamiętam i co mogę jako tako opisać, chciałbym się podzielić z innymi. I nie tylko z dawnymi mieszkańcami Stanisławowa. Wszak „Cracovię-Leopolis” czyta wielu innych Małopolan. A ci umieją docenić rolę Stanisławowa na naszych Kresach Wschodnich.

Gdy patrzy się na panoramę Stanisławowa, dominują w niej budowle sakralne. Podobnie, gdy wspomnieniami wraca się do tego miasta, w jego architekturze dostrzega się najpierw kościoły. W latach dwudziestych kończącego się stulecia nie było ich zbyt wiele. Cztery rzymskokatolickie, jeden ormiańskokatolicki, trzy greckokatolickie i jeden ewangelicki. Razem dziewięć. Poznałem je wszystkie jeszcze jako kilkulatnie dziecko.

Na większe uroczystości i święta chodziliśmy wspólnie, całą naszą rodzinną trójką do Fary, czyli Kolegiaty, jak się ten największy w Stanisławowie parafialny kościół oficjalnie nazywał. Stał w pobliżu Rynku. Nad kolegiatą górowała kopuła, zwieńczona dość wysoką wieżą. Dwie niższe od niej łączyły się z fasadą kościoła. Między nimi nad głównym wejściem znajdowała się wnęka, jakby balkon z dużym oknem, przez

które dzienne światło wpadało na chór. Obok głównego, do wnętrza prowadziły dwa boczne wejścia, usytuowane po jego bokach. My korzystaliśmy zawsze z tego po prawej stronie, bo tam mieliśmy najbliżej, idąc placem Kolegiackim, czyli Paderewskiego. W nawie, do której wchodziliśmy, stały przy filarach ołtarze. W jednym z nich robił na mnie wrażenie krucyfiks na ciemno-czerwonym aksamicie. Z upodobaniem przypatrywałem się złocistym aniołom, które stały na dwóch ołtarzach ukośnie ustawionych u wejścia do prezbiterium. Zastanawiały mnie ich gesty, niczemu nie służące, wprost zbyteczne. Przyciągały mój wzrok małe figurki aniołków – tłuściutkich, rumianych, siedzących na krajach ołtarzowych gzymsów. Dlaczego tam siedzą? I jak to się dzieje, że nie spadają na dół?

Intrygowiała mnie kamienna trumna, która stała na ołtarzu w prawej części transeptu, i metalowa urna na niej. Tato wyjaśnił mi, że sarkofag jest symboliczny, nie zawiera żadnych zwłok, a w urnie są relikwie św. Wincentego, rzymskiego rycerza i męczennika, którego w pancerzu i hełmie z pióropuszem przedstawiał obraz wiszący powyżej. A może zresztą nie obraz, lecz rzeźba umieszczona przy trumnie?

Podobał mi się wielki, główny ołtarz z dużym obrazem w nastawie. Często mu się przyglądałem, ale nie mogłem się połapać, co przedstawia. Był ciemny, posiadał wiele szczegółów, których nie umiałem połączyć w całość. Dopiero później, po kolejnych bytnościach w farze, już widziałem Boga Ojca, malującego pędzlem obraz Matki Boskiej, ale nie rozumiałem znaczenia takiego ujęcia. Przecież Pan Bóg nie jest malarzem, dlaczego więc tam, na ołtarzu, przedstawiono Go z pędzlem, przed rozpiętym płótnem, na którym tworzy ten wizerunek? Prawdopodobnie nikogo nie prosiłem o wytłumaczenie zagadkowego obrazu.

Przy głównym wejściu pod chórem stały dwa duże, złoczone posągi jakichś wygiętych mężczyzn z podgolonymi głowami,



w szlacheckich ubiorach. Sądziłem, że to może święci. Dopiero ojciec powiedział mi, że przedstawiają Potockich, założycieli miasta i fundatorów tego kościoła. Informowały o tym łacińskie napisy, umieszczone na graniastych podstawach obydwóch rzeźb. Pewnego dnia usunięto je z kościoła, a ludzie szybko o nich zapomnieli. Małe wizerunki rodziny Potockich, malowane prawdopodobnie na blasze i ujęte w duże obramowania, wisiały nad wejściami do dwóch zakrystii.

Trochę bliżej związałem się z kościołem parafialnym w okresie mojej pierwszek Komunii św., którą przyjąłem w 1928 r. Chodziłem częściej do swojego katechety, ks. Władysława Makarczuka, który równocześnie pełnił funkcję wikarego parafialnego, a przy tej okazji wstępowałem do kościoła. Poznałem wtedy zakrystię, zakamarkę przykościelną, stojącą obok fary drewnianą dzwonnice. Pierwszą spowiedź odbyłem też w tym kościele, u ks. Dąbrowskiego, katechety szkoły żeńskiej. Doradziła mi go jako spowiednika ciotka Zofia, utrzymując, że jest bardzo łagodny. Zapamiętałem go, ale nie zapomniałem, kto po raz pierwszy podał mi Komunię św. Ra-

zem z kolegami kłęczałem na najwyższym stopniu głównego ołtarza, przy rozciągniętym obrusie, podtrzymywanym po bokach przez starszych ministrantów. Byłem przejęty, ale nie za bardzo w sensie religijnym. Jednak Pan Jezus Eucharystyczny pociągał mnie, i za kilka godzin, w drodze do kościoła, który z własnej woli chciałem znowu odwiedzić, namawiałem towarzyszącego mi kolegę, byśmy po raz drugi przyjęli Komunię św. Nie wiedziałem na pewno, czy to jest dozwolone, a kolega wysuwał obiekcje, więc zrezygnowałem z tego zamiaru.

W kościele kolegiackim otrzymałem również sakrament bierzmowania. Stało się to chyba, gdy byłem w czwartej klasie, czyli w 1930 r., przy okazji wizytacji biskupiej arcybiskupa Bolesława Twardowskiego ze Lwowa. Feta co niemiara. Na oznaczoną, popołudniową godzinę powitania arcybiskupa ciągnęły z całego miasta tłumy, maszerowały oddziały żołnierzy, szeregi Sokołów, ciągnęła kawaleria, podążały rozmaite umundurowane stowarzyszenia i związki, sznury idącej parami młodzieży szkolnej itd. Gdy szedłem z mamą na uroczystość, koło Województwa zobaczyliśmy

przejeżdżający odkryty samochód, wiozący arcybiskupa. Siedział w tyle wozu, z odkrytą siwą głową, w fioletowej sutannie, a obok niego jakiś ksiądz.

Do bierzmowania przystąpiłem zapewne w którymś z kolejnych dni pobytu arcybiskupa w naszym mieście. Odczuwałem treść, bo ks. Makarczuk zapowiadał, że biskup będzie sprawdzał, co wiemy z nauki religii. Powtarzałem więc w myśli różne definicje katechizmowe, a szczególnie określenie sakramentu bierzmowania. Myliły mi się różne formułki i w końcu nie wiedziałem, która jest właściwa. Na szczęście arcybiskup, który chodził między rzędami klęczących dzieci i dawał im Ducha św., zrezygnował z egzaminowania. Może pytał te, które były bliżej ołtarza – a ja byłem w prawej nawie. Cała ceremonia trwała przy mnie – jak i u innych – bardzo krótko i raczej mnie rozczarowała. Biskup zapewne musiał przemawiać, ale nic nie słyszałem. W pamięci pozostała mi tylko postać w infule, która zbliżała się ku mnie od strony ołtarza św. Wincentego. I lekkie dotknięcie dłonią mojego policzka (a więc to jest owo zapowiadane przez księdza uderzenie w twarz?). I nic więcej.

Na procesję Bożego Ciała też chodziliśmy do fary. Znowu tłumy, ołtarze na Województwie i pasażu, wojsko, orkiestra. Celebransą niosącego pod baldachimem monstrancję podtrzymują wojewoda i generał. Bardzo lubiłem wielkie uroczystości kościelne, pełne powagi i dostojeństwa, ale oddziaływały na mnie tak, jak każde imponujące widowisko świeckie. Już więcej dawały mi ceremonie liturgiczne, w których nie brały udziału tłumy. Tak, jak w Wielkim Tygodniu.

Nie wiem, w której byłem wtedy klasie, może trzeciej, może czwartej. Korzystając z tego, że rozpoczęły się ferie wielkanocne, chodziłem sam na na ranne nabożeństwa do fary. Być w powszedni dzień rano na mszy św. stawało się dla mnie czymś niezwykłym i uroczym. Cóż dopiero, gdy łączyła się ona z obrzędami pełnymi treści i piękną, w które trochę wtajemniczał nas ksiądz na lekcjach religii. Toteż stojąc w kościele, z przejściem patrzyłem na wszystko, co działo się przy ołtarzu i koło niego. Wielkie Tajemnice oddziaływały na mnie, uobecniały mi to, co stało się przed wiekami w Wieczerniku, na Golgocie, u grobu Pana

Jezusa. Czuję się tak, jakbym był tam obecny, ale nie jakąś marzycielską fantazją, lecz trzeźwą świadomością, która mi mówiła, że tutaj, w tym kościele, w którym jestem obecny, powtarza się to samo, co kiedyś zdarzyło się w Jerozolimie. Z żalem i jako jeden z ostatnich opuszczałem kościół, postanawiając wrócić tu nazajutrz, a może nawet tego samego dnia na populudniową Ciemną Jutrznę.

Było to w jednym z ostatnich dni Wielkiego Tygodnia. Już skończyły się ceremonie, księża wyszli do zakrystii, kościelny usuwał z prezbiterium rozmaite przedmioty, ludzie rozchodzili się do domów, a ja stałem i patrzyłem na kościół. Na ołtarze, na kopułę nad skrzyżowaniem naw, na malowidła na ścianach. Potem przeniosłem wzrok na organy. Promienie słoneczne padały przez okno na piszczałki i na złocistego anioła, który usiadł na szczycie obudowy instrumentu. Trzymał przy ustach długą, cienką trąbę. Jeszcze niedawno rozbrzmiewały w kościele organowe tony, które mnie wzruszyły, jeszcze w słonecznym promieniu snuł się dym kadzielnny. I nagle zrobiło mi się dziwnie dobrze. Pogodnie i radośnie. Uświadomiłem sobie, że jest mi tu niezwykle błogo, przyjemnie. Tu, w tym kościele, jak nigdzie indziej. Żeby tak zawsze móc tu przebywać. Z dala od świata, od ludzi, od zła i codzienności. A tylko przy Bogu. I teraz, aby nie musieć wyjść na ulicę.

To była nigdy niezapomniana chwila. Pierwszy wyraźny głos Boży, wołający mnie ku sobie. Pierwsza zapowiedź powołania do kapłaństwa.

Opowiadanie Księdza Lesława będziemy kontynuować.



Ambona w Kolegiacie stanisławowskiej

TRUDNY ROK OSTATNI

W lecie rozchorowałam się na tyfus brzuszny i przez sześć tygodni leżałam w wysokiej gorączce walcząc o życie. Biedna mama, która dopiero co straciła matkę, bała się, że i mnie może stracić. Ale jakoś z tego wyszłam. Jeszcze będąc w gorączce, zobaczyłam, że ze szpar w podłodze wyłażą ogromne dwa szczury. Przerażona zaczęłam krzyczeć: – *Mamo – szczur, szczur!* Mama wystraszyła się, bo myślała, że mającę w gorączce, ale zbudził się też Jacuś i zawołał, że on też widzi szczury – są tam pod łóżkiem. I tak ze szczurami pod podłogą mieszkaliśmy już do końca.

Bardzo głodny był rok 1944. Zmniejszono racje chleba na kartki. Jedliśmy pożywienie normalnie uważane za niejadalne dla ludzi. Podkradało się z dołów ziemnych kiszkę dla bydła lub tzw. *żmych*, czyli prasowane ziarno słonecznikowe, przeznaczone dla bydła. Chudzi, wycieńczeni, ze skorbutem i niegojącymi się czyrakami na nogach z powodu braku witamin, jednak przeżyliśmy ten rok. Wieczorami zbieraliśmy się w mieszkaniu pani Stęfy Urzędowskiej, nauczycielki, i z nieodłącznym kłębkim wełny pod pachą i drutami z robótką w rękach słuchaliśmy oczarowani czytanych przez nią książek: „Kryżaków”, „Trylogii”, „Pana Tadeusza” i innych. Nawet gdy wyłączali światło w zimie – czytanie i robienie swetrów na drutach odbywało się przy kopających, zamoczonych w nafcie knocikach.

Jeszcze jesienią 1944 r. mamę spotkała przykra przygoda. Po sprzedaniu na bazarze w Semipałatyńsku swetrów, kupiła trochę łoju baraniego i na tym nakrył ją milicjant. Oskarżył ją, że jest handlarzką i poprowadził do komisariatu. Mama, bojąc się aresztowania, zdjęła z palca ostatnią złotą rzecz, jaką posiadała – obrączkę, i dała ją milicjantowi prosząc, żeby ją puścił. Ale to jeszcze pogorszyło sprawę – widocznie uznał, że obrączka to za mało – dość, że w komisariacie oskarżyli mamę

nie tylko o nielegalny handel, ale i o łapownictwo. Przez całą noc przetrzymali ją w areszcie, a u nas w domu zrobili rewizję, lecz nic nie znaleźli. Rano ją wypuścili, oddając i obrączkę i tłuszcz. Wróciła do domu rozstrzęsiona i zapłakana, ale szczęśliwa, że znowu jest z nami.

Rok 1945 był obfity w wydarzenia międzynarodowe. W styczniu została *wyzwolona* Warszawa, w lutym konferencja w Jałcie, a 8 maja kapitulacja Niemiec. W lipcu konferencja w Poczdamie, w sierpniu Hiroszima i Nagasaki. Do nas te wszystkie wiadomości naturalnie też docierały, ale nic to nie zmieniło w codziennej walce z głodem, o przeżycie, o doczekanie się wolności. [...]

* * *

Pod koniec 1945 roku Związek Patriotów Polskich zaczął organizować repatriację Polaków z ZSRR do kraju. Lecz minęła jeszcze zima, i dopiero na wiosnę 1946 r. wydano nam kartę repatriacyjną. Przystałam pracować w cegielni. Wraz z resztą młodzieży zamieszkałej przy cegielni pojechałam do ZPP do Semipałatyńska na egzamin. Po odpowiedzi na parę pytań z geografii, historii i po wykazaniu się umiejętnością pisania i czytania po polsku dostałam świadectwo z piątej klasy szkoły powszechnej, a miałam wtedy już ukończone 15 lat.

Wreszcie z początkiem maja 1946, zaopatrzeni przez ZPP w chleb i prowiant na drogę, załadowaliśmy się do bydłych wagonów i wyruszyliśmy w drogę powrotną – po sześciu latach wygnania, wychudzeni i obdarci, ale bardzo szczęśliwi. Wagony były otwarte, nie zaryglowane jak poprzednio. Na naprędcie zrobionych z dwóch cegieł i kawałka blachy kuchenkach gotowało się jakieś zupki. Wszędzie było słychać śpiew i śmiechy.

Wracaliśmy południową trasą przez Alma-Atę. Gdy nasz transport zatrzymał się na granicy na Bugu, wszyscy wyszli z wagonów i całowali ziemię. Było tam pełno woj-



ska, wszyscy rzucali się sobie w ramiona, potem były tańce przy dźwiękach harmonii i wspólne śpiewy. Jeden z polskich żołnierzy zapytał: – *Dlaczego wy się tak strasznie cieszyacie? Przecież to już nie jest ta sama Polska, jaką znacie sprzed wojny.*

Gdy transport szedł na ziemie zachodnie – my w czasie postoju w Lublinie odnaleźliśmy rodzinę. Za jej namową opuściliśmy transport, żeby stamtąd udać się do Torunia, do siostry mamy, Anieli. Ze łzami w oczach żegnaliśmy się z jadącymi dalej naszymi towarzyszami sześćioletniej niedoli. Gdy u cioci w Lublinie poczęstowano nas kolacją, Jacek pytał: co to te małe czerwone kuleczki – a to była rzodkiewka.

Następnego dnia wsiedliśmy już do normalnego, osobowego wagonu i pojechaliśmy do Torunia. Znaleźliśmy się tam 26 maja. Ciocia Aniela odstąpiła nam jeden pokój, a sama zamieszkała w najmniejszym. Trzeci pokój był jadalnią i sypiał tam mąż cioci – wujek Włodek, gdy wracał na niedzielę z pracy we Włocławku. Był tam jeszcze jeden pokój, który zajmowała bardzo sympatyczna emerytowana nauczycielka. Oprowadzała mnie po starzych zabytkach Torunia i nauczyła kochać piękno. Przygotowywała mnie też do Pierwszej Komunii, która jest tak uroczyste obchodzona w Polsce. Moja była skromna

i jakby wstydliva – przecież miałam już prawie 16 lat.

Lato 1946 r. miałam bardzo pracowite. Gdy inni byczyli się na wakacjach, ja musiałam nadrabiać wszystkie zaległości ze szkoły powszechnej. We wrześniu poszłam na egzamin i w jednym roku przerobiłam dwie klasy. Moja edukacja podstawowa była więc bardzo pobieżna i do dzisiaj odczuwam pewne braki w wykształceniu.

Mama, stęskniona do życia rodzinnego, myślała, że na stałe zainstalujemy się u cioci Anieli, jednak w 1947 r. przenieśliśmy się do Krakowa, gdzie mieszkała duża część rodziny – i ta, co stale tu żyła, i ta, która przybyła ze Lwowa. Zamieszkaliśmy u cioci Marychny, znowu w jednym pokoju, przez który cała rodzina chodziła do kuchni i łazienki.

Uczyłam się w gimnazjum im. Mickiewicza i tam zdałam małą maturę. Cała rodzina zastanawiała się, do jakiego liceum posłać mnie jesienią, ale jak zobaczyli szkice i kukielki, które czasem robiłam – zgodnie uznali, że powinienam pójść do Liceum Plastycznego, bo po mamie i babci Wandzi odziedziczyłam zdolności artystyczne. I tak się stało – jesienią 1948 r. rozpoczęłam naukę w Liceum Plastycznym przy ul. Lea. W tej samej klasie uczyły się ze mną takie przyszłe sławy, jak Bolesław Chromy, Władysław Boniecki i Adam Macedoński, a w klasie równoległej Starowieyski i Kucówna.

Pod wpływem nowego środowiska, z zahukanej kazachstańskiej dzikuski zaczęłam przeistaczać się w „artystyczną duszę”. Dumnie dźwigałam ogromną teczkę z rysunkami i kasetę z farbami. Podobało mi się wszystko, co zalaływało ekstrawagancją i niecodziennością. I może dlatego, gdy przeczytałam, że „Służba Polsce” organizuje dla dziewcząt i chłopców szkolenie na szybowcach – wraz z dwiema koleżankami postanowiłyśmy spróbować trochę pobujac w przestworzach.

(Koniec)

Z notki biograficznej, zamieszczonej po pierwszym odcinku wspomnień Ewy Nechay-Lempartowej (CL S/99), wiemy, że Autorka nie została artystką, lecz ukończyła studia politechniczne i pracowała jako projektant. A z próby „pobujania w przestworzach” wynikł po kilkunastu latach szybowcowy rekord świata w przelocie szybkościowym.

SYLWETKI

STANISŁAWOWSKIE LATA GENERAŁA SOSABOWSKIEGO



Gen. Stanisław Sosabowski

Stanisławów – widzę to miasto, gdzie w codziennym trudzie zdobywałem chleb dla siebie i mojej rodziny, kształtowałem swój charakter i uczyłem się łamać piętrzące przede mną przeszkody; miasto, gdzie poznałem i pokochałem ideały, które stały się myślą przewodnią mojego życia.

Tak pisał późniejszy generał Stanisław Sosabowski we wstępie do swojej książki *Droga wiodła ugiorem*. Gdy miał 11 lat, stracił ojca. Rodzeństwo było jeszcze młodsze. Pensja wdowia matki nie wystarczała na życie. W zimie biegł do szkoły, nie mając płaszcza. Było źle, czasami głodno. Zaczął zarabiać korepetycjami. Kiedy w szkole jacyś rodzice stroskani złymi postęпами synów pytali profesora o radę,

często słyszeli: *To leń i nieuk, koniecznie potrzebuje pomocy i twardej ręki. Jest korepetytor, nazywa się Sosabowski*. Był twardy i nieustępliwy, nie wypuszczał delikwenta tak długo, aż nauczył się lekcji. Będąc w 5 klasie, został przewodniczącym kółka samokształceniowego na terenie szkoły realnej. Działające w Stanisławowie Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół”, Towarzystwo Młodzieży Polskiej o ideologii narodowo-socjalistycznej i Towarzystwo Szkoły Ludowej tworzyły patriotyczną atmosferę. Sosabowski wgłębiał się w *Myśli nowoczesnego Polaka*, *Egoizm narodowy Dmowskiego*. Studiował Mochnackiego, Lelewela, Kutrzebę, *Dzieje porobiorowe Polski* Siemiradzkiego. Jednym z przejawów patriotycznych młodzieży pod zaborem była coroczna manifestacja na cmentarzu stanisławowskim w Dzień Zaduszny. Przy udekorowanych grobach Zasłużonych śpiewano i wygłaszano przemówienia.

Były to lata 1906–07. Młodzież akademicka była wierna ideologii narodowo-demokratycznej, szkolna zaś przystępowała do „Zarzewia”, odłamu młodzieży narodowo-niepodległościowej. Wkrótce z „Zarzewia” została wyłoniona tajna organizacja wojskowa „Armia Polska” i jej jawna emanacja „Polskie Drużyny Strzeleckie”. Komendantem XXIV Drużyny w Stanisławowie został podchorąży „Węglarz” Stanisław Sosabowski.

W tym samym czasie, w 1908 r. we Lwowie, w mieszkaniu Kazimierza Sosnkowskiego na zebraniu organizacyjnym kilkunastu osób z Józefem Piłsudskim, zostaje powołany Związek Walki Czynnej. Jednym z uczestników tego zebrania był późniejszy emisariusz ZWC, absolwent Politechniki Lwowskiej i instruktor w Drużynie Strzeleckiej Sosabowski, inż. Jan Międzobrodzki.

Z chwilą wybuchu I wojny światowej Sosabowski zostaje wcielony do armii austriackiej. Zostaje ranny, grozi mu kalectwo. W 1920 r., służąc już w Wojsku Polskim, chodził o lasce. Potrafił jednak wykrzesać z siebie tyle siły wewnętrznej i fizycznej, że w 1941 r. – dobijając pięćdziesiątki – wykonał pierwszy skok spadochronowy.

W 1918 r. po latach niewoli działa w Lublinie, kierując rozbrajaniem zaborczej armii. W 1922 r. podejmuje studia. Był czoł-

wiekami gruntownie wykształconym, piastował różne stanowiska, wykładał w Wyższej Szkole Wojskowej, dowodził 9 Pułkiem Piechoty Legionów i 21 Pułkiem „Dzieci Warszawy”. Po kampanii wrześniowej, w której uczestniczył, i ucieczce z obozu udał się Sosabowski do Lwowa, a po dwóch tygodniach do Stanisławowa, ażeby się zorientować w możliwościach przejścia na Węgry, a stamtąd do Rumunii. Jako stanisławowianin, Karpaty w tym rejonie znał doskonale.

I ZNÓW W STANISŁAWOWIE...

Do domu rodziców żony przy ul. Halickiej droga ze stacji prowadziła koło klasztoru Jezuitów. Właśnie kończyła się suma, kościół był pełen ludzi. Śpiewano *Święty Boże, Święty mocny i nieśmiertelny – zmiłuj się nad nami*. Śpiew płynął z głębi udreżonych serc – lzy zaczęły mu spływać po twarzy. Tłum opuszczał świątynię. Gdy Sosabowski zjawił się na ul. Halickiej, żyjąca wówczas rodzina zachowała się tak, jakby był duchem. Polecono mu uciekać z miasta, zaczęto wyliczać, kto został aresztowany, kto rozstrzelany. Działają miejscowi ukraińscy nacjonaliści, a Żydzi denuncjują wszystkie wybitne osobistości. Przejścia na Węgry przez Worochtę i pasmo Czarnohory, przez przełęcz Tatarską i przez Rafajłową były silnie obstawione. Droga przez Kołomyję i Śniatyn również zamknięta. Z konieczności powrócił Sosabowski do Lwowa i postanowił szukać innej drogi. Tym razem wiodła przez Drohobycz, Tustanowice i dalej na południe, przez zieloną granicę, do Budapesztu. Drodze tej patronowało harcerstwo lwowskie.

Kazimierz Międzobrodzki

Dane biograficzne gen. St. Sosabowskiego zawarte są w artykule L. Wierzejskiego w tym numerze.

W Krakowie znajduje się pomnik tego wybitnego Polaka – na dziedzińcu koszar 6 Brygady Desantowo-Szturmowej im. gen. S. Sosabowskiego w Rząsce (na Pasterniku).

SŁOWNIK GEOGRAFICZNO HISTORYCZNY

HOŁOSKÓW

Wieś w pow. tłumackim, woj. stanisławowskim, stacja na linii kolejowej Stanisławów-Śniatyn, 27 km na płd.wsch. od Stanisławowa i 4 km od Otyni (zob.). Na przeł. XIX/XX w. liczyła niespełna 1000 mieszkańców. Należała do parafii rzym.kat. w Otyni, parafia gr.kat. na miejscu.

Hołosków należał do królewszczyzn, trzymanych przez Potockich, i z biegiem czasu stał się ich własnością. Nie znamy czasu powstania wsi. W 1. poł. XVIII w. administratorem był tam ubogi szlachcic Andrzej Karpiński, ojciec poety Franciszka Karpińskiego, który urodził się w Hołoskowie w 1741 r. Na przeł. XIX/XX w. właścicielem wsi był Wincenty Dobrowolski.

(M.T.)

KOCHAWINA

Położenie. Wieś w pow. żydaczowskim, woj. stanisławowskim, stacja kolejowa Hnizdyczów-Kochawina na linii Stryj-Żydaczów-Chodorów, położona o 22 km na płn.wsch. od Stryja. Jedno z najbardziej znanych miejsc kultu maryjnego w Polsce. Do cudownego obrazu MB Kochawińskiej przybywało w okresie międzywojennym ok. 25 tys. pielgrzymów rocznie.

Historia. Przed XVII w. był to niezamieszkały, bagnisty obszar, z rzadka porośnięty lasem dębowym lub brzoźowym. Prowadził tędy trakt z północy na południe, którym niejednokrotnie wdzierali się w głąb Polski Tatarzy. Nazwa Kochawina po raz pierwszy występuje w 1627 r. w akcie fundacyjnym parafii rzym.kat. w Rudzie (zob.), gdyż miejsce to należało do dóbr rudzkich i z Rudą (oddaloną o 2 km) związana była cała jego historia. Według tradycji początek istnienia osady dało niezwykle zdarzenie z 1646 r. Przejeżdżająca tędy dziedziczka Rudy Anna Wojankowska zobaczyła na dębie obraz Matki Boskiej. Przeniesiony przez nią do Rudy, obraz w cudowny sposób powrócił na drzewo. W 1660 r. Teresa z Zawadzkiej Wyhowska wybudowała dla obrazu kapliczkę w lesie kochawińskim. Ponieważ kult

WSPOMNIENIE O PRZYJACIELU

Leszek Wierzejski – w pięciolecie śmierci

W środowisku stanisławowian znali Go prawie wszyscy. Jeżeli nie z bezpośrednich kontaktów, to z licznych Jego publikacji prasowych i książkowych o rodzinnym mieście, które szczerze ukochał.

Magister Leszek Wierzejski urodził się w 1929 r. w Stanisławowie, gdzie spędził dzieciństwo i początki swojej edukacji. Wychowany w patriotycznej rodzinie, w atmosferze zasad chrześcijańskich, pozostał im wierny przez całe życie.

Wybuch wojny w 1939 roku pozostawia niezatarty ślad w świadomości przecież jeszcze dziecka. Z balkonu swego mieszkania przy ul. Piotra Skargi – jak wspomina po latach – z przerażeniem obserwuje odwrót wojska polskiego, a następnie wkroczenie Armii Czerwonej, a wraz z nią tragiczne losy mieszkańców swego miasta.

Po zakończeniu wojny los nie oszczędza Leszka. W przedzień *repatriacji* ze Stanisławowa w 1944 r. NKWD arestuje Jego ojca, o którym na wiele lat słuch zaginął. Wraz z matką osiedla się we Wrocławiu. Tu kończy studia i rozpoczyna pracę na miejscowej uczelni jako nauczyciel historii – tej prawdziwej – bez zniekształceń, co oczywiście nie uchodzi uwagi władz. Zostaje zwolniony z pracy i pozbawiony środków utrzymania. Jako niestrudzony działacz opozycji, swą profesję historyka wykorzystuje w licznych cyklach wykładów i odczytów w kościołach Wrocławia, Krakowa, Warszawy, Przemyśla, Sanoka i innych miast, głosząc prawdę o dziejach narodu.

Wielokrotnie przesłuchiwany w UB, arestowany, a w okresie stanu wojennego internowany, Leszek nie zaprzestaje działalności. W roku 1984 uczestniczy wraz z pielgrzymką stanisławowian w przekazaniu na Jasną Górę sztandaru Hufca Harcerskiego w Stanisławowie, przechowanego w czasie wojny u druha Władysława Madeja. A są to przecież czasy, gdy Kresy Wschodnie, Stanisławów, Lwów, stanowiły tabu. Nawet opis tej pielgrzymki w „Tygodniku Powszechnym” (nr 39 z 23 IX 1984) roi się od białych plam cenzorskich z dopi-



kiem: *Ustawa z dnia 31 VII 1981 o kontroli publikacji i widowisk, art. 2, pkt 3...*

Oczywiście w takiej sytuacji nie mógł Leszek publikować swych prac. Nie godząc się jednak z tym, stara się w innych tematach przemycić co nieco z historii swego miasta. W roku 1987 wydaje w Poznaniu książeczkę pt. *Szlakiem bohaterów Trylogii*. A ponieważ H. Sienkiewicz w ostatnim tomie *Pana Wołodyjowskiego* umiejscowił pogrzeb Pana Michała w kolegiacie stanisławowskiej, skorzystał Leszek z okazji, by przekazać – skrótową co prawda, ale nigdzie po wojnie nie publikowaną – historię miasta Stanisławowa, Grodu Rewery, od jego powstania do chwili obecnej, dołączając do tego przedwojenne zdjęcie świątyni.

Taki właśnie był Leszek i, jak mi później opowiadał, pewne zastrzeżenia zgłosił jedynie recenzent książki: *Dlaczego o jakimś tam mieście autor tak się rozpiisał?* Na szczęście cenzura to przeoczyła.

To tylko fragment Jego działań. Współuczestniczył bowiem we wszystkich akcjach i uroczystościach na rzecz swego miasta. Umieszczenie na kościele powązkowskim w Warszawie tablic ku czci pomordowanych przez okupantów stanisławowian, tablicy poświęconej pamięci spoczywających na stanisławowskim cmentarzu, zli-

kwidowanym w 1980 roku, budowa pomników w miejscu kaźni nauczycieli stanisławowskich i na dawnym cmentarzu, odbywały się również przy Jego udziale. Uczestniczył w organizacji corocznych spotkań stanisławowiaków w katedrze wrocławskiej, a także rokrocznie organizował wycieczki do Stanisławowa i okolic.

Zadziwił wszechstronnością zainteresowań, systematycznością w działaniu, ujmował serdecznością, życzliwością, sposobem bycia i swymi dokonaniem.

Zmarł we wrześniu 1995 r. Pozostawił po sobie nie ze spiżu, lecz trwalszy jeszcze pomnik – pamięci o człowieku.

Stanisław Kwaśniewski

Z TAMTEJ STRONY

ZNOWU FAŁSZ

24 października 1999 urządzono we Lwowie pogrzeb 142 ekshumowanych ofiar NKWD z lat 1939–41 i 1945–57, narodowości – jak oficjalnie podały tamtejsze czynniki – ukraińskiej, polskiej i żydowskiej. Nazwiska ustalano wedle *brzmienia*, a polskiej strony do badania nie dopuszczono. Dlaczego?

Istnieje oczywiście uzasadnione podejrzenie, że chodzi głównie o zamordowanych Polaków, nawet jeśli czasem nazwisko brzmi po rusku – w Polsce jest bardzo dużo takich nazwisk, podobnie jak niemieckich, co nie przeszkadza, że ich nosiciele byli od wieków szczerymi Polakami, wybitnymi twórcami polskiej kultury, mężami stanu, patriotami, bojownikami, a nawet męczennikami za narodową sprawę. Wystarczy przypomnieć, że niepolskie w brzmieniu nazwiska nosili Kościuszko, Mickiewicz, Sienkiewicz, Moniuszko, Matejko, Emilia Plater, Traugutt, lub generałowie I i II wojny: Iwaszkiewicz, Abraham, Anders, Kleeberg czy Mond, którzy wbrew swym nazwiskom walczyli z Niemcami, Rosjanami i tym podobnymi agresorami.

Obecnie szowinistyczni półinteligenci wykorzystują takie i podobne sprawy, by ukrywać niewygodną dla siebie prawdę. Nic nas już nie zadziwi, skoro podano kiedyś, że mord

obrazu, który zasłynął cudami, rozszerzał się także na dalsze okolice, Konstanty Wyhowski – aby miejscu pielgrzymkowemu zapewnić właściwą opiekę – w 1747 r. sprowadził do Kochawiny karmelitów i ufundował im drewniany kościół i klasztor. W 1775 r. arcybiskup lwowski Michał Wyżycki wydał dekret uznający obraz MB Kochawińskiej za cudowny. Władze austriackie w 1780 r. skasowały klasztor i oddały kościół pod zarząd parafialny proboszcza z Rudy. W tym czasie spłonął kościół parafialny w Rudzie i w 1789 r. formalnie przeniesiono parafię do Kochawiny. W 2. połowie XIX w. ówczesny proboszcz, ks. Eugeniusz Pietruski, rozpoczął budowę nowego murowanego kościoła parafialnego, który ukończono w 1894 r. Równocześnie wybudowany został dom gościnny dla pielgrzymów oraz sierociniec, który powierzono ss. słuźebniczkom. Na początku XX w. abp J. Bilczewski, za zezwoleniem papieża Piusa X, dokonał uroczystej koronacji obrazu. W 1930 r. parafię kochawińską przejęli jezuici, którzy pod koniec II wojny światowej w r. 1944, dla zabezpieczenia dobra kościelnego przed nadejściem wojsk sowieckich, wyprawili do Starej Wsi ruchomości, między którymi ukryty był cudowny obraz, zastąpiony w ołtarzu wierną kopią. Po wojnie obraz przewieziono do Krakowa i umieszczono w kaplicy domu prowincjalnego. W 1966 r. obraz poddano konserwacji, a w 1974 r. przewieziono go do Gliwic, do kościoła św. Bartłomieja, gdzie dotąd się znajduje (w budowie jest tam nowy kościół pw. MB Kochawińskiej, gdzie obraz zostanie umieszczony).

Zabytki. Kościół parafialny z kamienia i cegły, trójnawowy, jednowieżowy, w stylu neoromańskim, wybudowany w 1894 r., rozbudowany na przełomie XIX/XX w. Na zasuwie cudownego obrazu znajdował się obraz przedstawiający Wniebowzięcie MB, pędzla J. Mehoffera. Po II wojnie władze sowieckie zamieniły kościół na magazyny zboża i lnu. Zniszczony przy tym został cały wystrój wewnętrzny kościoła (z wyjątkiem głównego ołtarza) i całe zewnętrzne otoczenie kościoła.

Kaplica neogotycka, wystawiona na pocz. XX w. w miejscu, na którym stała pierwotna kaplica drewniana, rozebrana wtedy z powodu zawilgocenia.

(M.T.)

ŁYSIEC

Położenie. Miasteczko w pow. bohorodczańskim, woj. stanisławowskim, położone nad Bystrycą Sototwińską, przy drodze ze Stanisławowa (w odl. 10 km na płd.zach.) do Bohorodczan (8 km na płn.wsch.). Na przełomie XIX/XX w.

profesorów na Wulce w 1941 roku dotyczył nie tylko Polaków, także... Francuzów. Chodziło oczywiście o rektora UJK, prof. Romana Longchamps de Berier i jego trzech synów. A Longchamps'owie to od 3 wieków patriotyczna polsko-lwowska rodzina, związana z polskimi powstaniami, nauką, kulturą i gospodarką.

A co na to „Europejczycy”?

Wydarzenia

◆ W dniach 20–21 listopada 1999 odbył się w Łucku na Wołyniu **III Sejmik Organizacji Polskich**, działających na terenie państwa Ukraina. Na Sejmik, który zamknął drugą kadencję zarządu Federacji OPnU i zarazem otworzył trzecią, przybyło dwustu kilkudziesięciu delegatów i sporo gości, w tym z RP. Na życzenie większości uczestników dokonano zmiany w statucie FOPnU, umożliwiając jej prezesowi pełnienie jego funkcji przez 3 kadencje. Tym samym prezes w I i II kadencji Emilia Chmielowa, na którą oddano 211 głosów na 227 wydanych mandatów, pozostanie na tym stanowisku przez 5 kolejnych lat (również na życzenie uczestników kadencję przedłużono z 3 do 5 lat).

Bardziej szczegółową relację z III Sejmiku, napisaną przez obecnego w Łucku (w gronie przedstawicieli „Wspólnoty Polskiej”, a reprezentującego TMLiKPW) A. Chlipalskiego, będzie można przeczytać w „Semper Fidelis”.

We Lwowie zmarł w listopadzie 1999 r. **STANISŁAW ADAMSKI**, postać ogólnie znana i szanowana dzięki swej godnej postawie – człowieka, Polaka i lwowianina. Urodził się w 1916 r. we Włodzimierzu Wołyńskim. Przez małżeństwo z Teresą z Mozerów wszedł do znanej i zasiedziałej rodziny lwowskiej, a dom przy ul. Szumlańskich 7 stał się w ciągu ubiegłego półwiecza miejscem spotkań lwowian miejscowych i ekspatriowanych, gdzie można było wiele się dowiedzieć, zrozumieć i pokrzepić. Rodzine Zmarłego i wszystkim, których ta śmierć dotknęła po obu stronach kordonu – wyrazy serdecznego współczucia i żalu składa Oddział Krakowski TMLiKPW oraz Redakcja „Cracovii-Leopolis”.

◆ We Lwowie zmarł również w listopadzie 1999 mgr **Leopold Józef Peszek**, urodzony we Lwowie w 1930 r., wykładowca języka niemieckiego, angielskiego i francuskiego w szkolnictwie lwowskim i na Wołyniu, pracownik Ossolineum. Był działaczem organizacji polskich we Lwowie, odznaczony przez Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa Srebrnym Medalem Opiekuna Miejsc Pamięci Narodowej. W dziele ratowania polskich cmentarzy zasłużył się również Jego syn, Tadeusz.

L.J. Peszek spoczął na cmentarzu Janowskim. Cześć Jego pamięci!

POLACY z POLAKAMI

Do zapamiętania

◆ W krakowskim Centrum Młodzieży odbyło się z początkiem listopada '99 pięciodniowe, już VIII seminarium pod hasłem *Potrzeby kulturalne dzieci polskich na Wschodzie*, współorganizowane i sponzorowane przez kilka odpowiednich urzędów i instytucji kulturalnych, a także – ciekawostka: przez Zespół Zbiorników Wodnych Czorsztyn-Niedzica-Sromowce Wyżne SA. Przybyli nauczyciele i działacze oraz młodzież (łącznie po 4-5 osób) z kilku obszarów, w tym z państwa ukraińskiego.

Poza spotkaniami ogólnymi z prelekcjami, uczestnicy brali udział w *warsztatach*: harcerskich, plastycznych, teatralnych, muzycznych i przedszkolnych. Wśród prelekcji trzeba odnotować opowieść Jadwigi Gusławskiej z Krzemieńca o Słowackim (tekst pani Jadzi o Krzemieńcu wydrukowaliśmy w CL 2/98) oraz wykłady profesorów z krakowskiej Akademii Pedagogicznej. Wśród prowadzących warsztaty były takie osoby jak prof. Bogusław Grzybek (muzyczne) i Jerzy Fedorowicz, dyr. Teatru Ludowego w Nowej Hucie (teatralne).

Było też zwiedzanie zabytków Krakowa, wizyty w teatrach, na koncertach i wystawach, obejrzenie filmu „Pan Tadeusz”. Na pożegnalnym spotkaniu grała 6-osobowa muzykująca rodzina Olszewskich z Brodów.

◆ Również z początkiem listopada przebywali w Krakowie – w ramach corocznej wymiany z tutejszym VII Liceum Ogólnokształcącym im. Z. Nałkowskiej – **uczniowie z lwowskiej Szkoły nr 10**. 23-osobowej grupie towarzyszyły trzy panie nauczycielki, z p. dyr. M. Markuniną na czele. Młodzież mieszkała w domach swoich krakowskich kolegów (podobnie jak na wiosnę krakowiaczy we Lwowie).

◆ Z końcem ub. roku **Oddział Krakowski TMLiKPW** przekazał dla polskiej grupy w przedszkolu nr 48 we Lwowie środki na zakup pralki oraz na prezenty dla dzieci z okazji św. Mikołaja. Ponadto do Katedry przekazano kwotę zebraną wśród członków na urządzenie wigilii dla osób starszych i samotnych, organizowanej tam tradycyjnie od szeregu lat.

W Krakowie i dalej

DZIEŃ POLSKIEGO PAŃSTWA PODZIEMNEGO

Dzień 27 września ub. roku był po raz pierwszy obchodzony jako święto upamiętniające Polskie Państwo Podziemne. Z tej okazji odbyło się w kościele św. Jadwigi Królowej w Krakowie – jako kościele patronalno-garnizonowym Żołnierzy AK Polskich Kresów Wschodnich – uroczyste odsłonięcie dwóch tablic pamiątkowych: Komendanta Obszaru Lwowskiego AK w latach 1941-43, gen. Kazimierza Sawickiego, oraz Generalnego Wikariusza Archidiecezji Lwowskiej na teren okupacji niemieckiej, ks. prałata Jakuba Dymitrowskiego i żołnierzy ZWZ z Bełza, a także emblematu okupacyjnego Obszaru Lwowskiego AK, kryptonim „Lutnia”.

Po mszy św., odprawionej przez ks. prałata Jana Dziaska w asyście o. Wojciecha, delegata przeora Jasnej Góry, uczestnicy przeszli do Panteonu, mieszczącego się w dolnej części kościoła. Prezes Okręgu Lwowskiego AK ppor. Jan Sura powitał wojewodę krakowskiego i innych przedsta-

Łysiec liczył niespełna 2,5 tys. mieszkańców. Liczną była tu grupa ludności ormiańskiej.

Historia. W roku 1416 Władysław Jagiełło nadał Łysiec i kilka wsi przybyłej ze Śląska rodzinie Telefusów jako remompensatę za opuszczone przez nią dobra. W swej nowej siedzibie zbudowali oni (od dawna nieistniejący) zamek obronny. Nie wiadomo, kiedy Łysiec uzyskał prawa miejskie ani w jaki sposób przeszedł w ręce Potockich – prawdopodobnie ok. połowy XVII w. W 1669 r. Andrzej Potocki ufundował parafię rzymskokatolicką i pierwszy drewniany kościół parafialny. W tym samym czasie powstała parafia katolicka obrządku ormiańskiego dla licznie osiadłych tu Ormian, którzy trudnili się wyrobem skór safianowych. Tutejszy kościół ormiański rychło zasłynął dzięki znajdującemu się w nim obrazowi Matki Boskiej, namalowanemu wg podania przez ormiańskiego kapłana o imieniu Kolumbus. Gdy w 1719 r. okolicę pustoszyła morowa zaraza, sam Łysiec został od niej uwolniony po procesjach z obrazem, uważanym już za cudowny.

W posiadaniu Potockich Łysiec pozostawał jeszcze w 2. połowie XVIII w. Podczas podziału fortuny Stanisława Potockiego, wojewody poznańskiego, klucz łysiecki przypadł w 1770 r. Józefowi Potockiemu. Nie wiemy dokładnie, kiedy dobra przeszły na spokrewnionych z nimi Kossakowskich. W każdym razie, gdy w 1779 r. spłonął drewniany kościół, fundatorką drugiego była w 1782 r. Anna Kossakowska. W poł. XIX w. Łysiec został nabyty przez rodzinę węgierskich arystokratów hr. Stadionów. Dzięki pomocy Rudolfa Stadionia został ukończony i wyposażony nowy murowany kościół w Łyścu, budowany od 1834 r. po pożarze z 1830 r. i przeznaczony dla obu obrządków, łacińskiego i ormiańskiego. Ukończono go w 1852 r., konsekrowano w 1882 r. pw. Wniebowzięcia NPM. W głównym ołtarzu znajdował się od dawna łaskami słynący obraz, ikona Matki Boskiej w typie MB Częstochowskiej, malowany na płótnie nałożonym na deskę, o wymiarach 136 x 98 cm.

Podczas I wojny światowej Łysiec był ewakuowany, kościół ograbiony, a obraz odarty ze złoconych blach. W 1917 r. stacjonujący w Łyścu rosyjski kapitan przewiózł obraz do kościoła ormiańskiego w Stanisławowie, by uchronić go przed dalszym zniszczeniem. Tam obraz pozostał do 1920 r., kiedy to w uroczystej procesji, ubrany w nowe srebrne sukienki, sprawione ze składek stanisławowian, powrócił na dawne miejsce. Po II wojnie przewieziono go do Gliwic i obecnie znajduje się w kaplicy parafialnej tamtejszej

Z ZACHODEM PEWNIJ

Prof. Władysław Serczyk, historyk i zarazem felietonista „Dziennika Polskiego”, pisze – jak się zwierzył w tej gazecie (Zrozumieć Rosję, DzP 248/99) – historię Rosji (a już dawno wydał historię Ukrainy). Okazuje się, że objęcie dziejów tego państwa, stosując kryteria europejskie, nie jest proste. Serczyk pisze:

[...] Kłopoty zaczynają się już wówczas, gdy trzeba opisać wydarzenia pierwszych lat istnienia Rusi Kijowskiej. Spór o normańskie czy też rodzime początki państwa ruskiego spowodował, że najwięcej uwagi poświęcono dotychczas albo udowodnieniu wcześniejszego istnienia na tym terenie organizmów państwowych, albo też udokumentowaniu takiego stopnia ich rozwoju gospodarczego, że „czapka normańska” stanowić miała tylko symboliczne utrwalenie tego, co już dawno dojrzało do samodzielności. Jak dotąd nikt nie potrafił przekonująco ukazać pojawienia się na Rusi myśli państwowej, chociaż w najstarszych zapiskach kronikarskich znaleźć można wiele pozostawionych przez nią śladów. Nikt też nie pokazał drogi, jaką postępowała sławizacja druzżyn wareskich, których istnienia przy książętach ruskich nikt, kto rozsądny, kwestionować się nie ośmieli.

Już wówczas próbuje się postrzegać jedno terytorium, jeden kraj, rozwijający się wedle tych samych reguł i borykający się z tymi samymi problemami. Tymczasem rozdrobnienie Rusi nie rozpoczęło się dopiero od testamentów podziałowych sporządzonych przez wielkich książąt kijowskich na początku XII stulecia, lecz istniało od samego początku ruskiej państwowości. Co prawda ziemie należały do jednej rodziny książęcej, tak jednak skłóconej ze sobą, że rzadko zdarzał się rok bez konfliktu, sporu, czy nawet wojny, w której nader często odwoływano się do „pomocy sąsiedzkiej”, także – polskiej. Z wielkim trudem mobilizowano się do wspólnego stawiania oporu najeźdźcom zewnątrz-

nym, czego dowodów nie brakuje, także w sławnym „Słowie o pułku Igora” [...]. Sojusze takie nie trwały zresztą długo i wszystko kończyło się kląpą, zarówno w walkach z Pieczyngami, Połowcami, jak i najazdem mongolskim.

Późniejsze „zbieranie ziem ruskich” podejmowane przez kolejnych władców odbywało się często nie tylko wbrew woli książąt udzielnych, nie zamierzających łatwo rezygnować z panowania nad paroma grodami i kilkudziesięciu wioskami, lecz również wbrew woli mieszkańców przyłączanego terytorium. [...]

Niektóre z tych wątków poruszyliśmy w CL 3/98. Warto to wszystko wiedzieć z dwóch co najmniej powodów. Po pierwsze: to, co działo się po naszej wschodniej stronie, miało niestety poważny wpływ na Polskę, w szczególności na Ziemię Czerwieńską – będącą przez ponad trzy i pół wieku pod władzą książąt ruskich, po jej zagarnięciu przez władcę kijowskiego Włodzimierza Wielkiego w 981 r. Chodzi przede wszystkim o napływ ludności ruskiej, uchodzącej ku zachodowi przed najazdami mongolskimi i ciągłym pustoszeniem ziem Rusi (zaś Ziemia Czerwieńska była wcześniej słabo zaludniona). Po drugie: słowa historyka – i to nastawionego raczej życzliwie ku tamtej stronie – warto sobie przypomnieć, gdy słuchamy andronów o krzywdzie, jaką uczynił tamtejszemu ludowi Kazimierz Wielki, przywracając polskie władztwo nad zagarniętą przez Włodzimierza ziemią. Wypada też przyznać wielki rozsądek polityczny ostatnim władcom Rusi Halickiej, ks. Jerzemu I i Bolesławowi Jerzemu II, którzy odcinając się od ruskiego chaosu, zwrócili się ku Polsce. Warto jeszcze zacytować innego historyka, Leszka Podhorodeckiego (*Zarys dziejów Ukrainy*, Książka i Wiedza, Warszawa 1976):

[...] Połączenie Rusi Halicko-Wołyńskiej z Polską zakończyło niemal 200-letni okres nieustannych walk wewnętrznych i obcych najazdów, zapewniło jej długie lata pokoju i pomyślnego rozwoju gospodarczego. Zaczął się masowy napływ osadników z zachodu, powstawały nowe wsie i miasta, lokowane na prawie niemieckim, stare miejscowości otrzymywały nowe prawa, szybko zwiększała się liczba ludności. [...]

Ilęz tu odniesień do współczesności!

wicieli władz wojewódzkich i miejskich, Wojska Polskiego, a szczególnie 16 Batalionu Powietrzno-Desantowego (który zaciągnął wartość przy tablicach), Zarządu Głównego SZŻAK, Okręgów AK Krakowskiego i Śląskiego, członków rodziny ks. Dymitrowskiego, poczty sztandarowe z różnych środowisk i miejscowości. Następnie przedstawił sylwetki gen. Sawickiego i ks. Dymitrowskiego.

Gen. dyw. Kazimierz Jędrzej Sawicki, ur. w r.1888, do szkół uczęszczał w Warszawie i za działalność konspiracyjną był aresztowany przez policję carską. Po wykupieniu zbiegł do Krakowa, studiował na UJ i działał w organizacjach studenckich oraz ZWZ, dochodząc do funkcji komendanta. Zorganizował tu oddział Związku Strzeleckiego, otrzymując stopień oficerski. Po wybuchu I wojny wstąpił do Legionów, został ranny pod Łowczówkiem. Odkomenderowany do POW, doszedł tam do stanowiska komendanta głównego. Walczył z najazdem bolszewickim, a potem pozostał w wojsku jako dowódca 36 pp. Od 1932 r. był dyrektorem Państwowego Urzędu Wychowania Fizycznego i Przysposobienia Wojskowego, a w 1939 r. objął stanowisko inspektora jednostek Obrony Narodowej. Walczył w kampanii wrześniowej, a po przejściu na Węgry został tam internowany. Po ucieczce, w 1941 r. wrócił do Warszawy. Nawiązał kontakt z ZWZ i został mianowany komendantem obszaru lwowskiego. Zreorganizował tam rozbitą przez NKWD konspirację i przygotowywał obronę ludności polskiej przed Ukraińcami. Po rezygnacji na skutek nieporozumień co do metod utrzymania kontaktów z Ukraińcami, w 1943 r. został szefem Biura Inspekcji Komendy Głównej AK oraz dowódcą grupy operacyjnej „Prusy Wschodnie”. Uczestniczył w pracach Komitetu Politycznego Konwentu Organizacji Niepodległościowych. Po powstaniu warszawskim przebywał w oflagach, a wyzwolony przez armię amerykańską w 1945 r. osiadł w Londynie. Pełnił tam różne funkcje w organizacjach kombatanckich i rządzie emigracyjnym. Zmarł w 1971 r. i spoczął na cmentarzu Gunnesbury.

Ks. prałat dr Jakub Dymitrowski ur. w 1886 r. na Bukowinie, nauki pobierał w Czerniowcach i Lwowie, i tu ukończył

wspólnoty ormiańskiej. W 1991 r. obraz został ukoronowany przez wizytującego parafię ormiańskiego patriarchę katolickiego z Libanu, Jana Piotra XVII Gaspariana, koronami poświęconymi przez papieża Jana Pawła II w 1987 r.

W Łyścu urodzili się dwaj wybitni lwowscy arcybiskupi ormiańscy: Samuel Cyryl Stefanowicz (1755–1858), konsekrowany na arcybiskupa w 1824 r., oraz Izaak Mikołaj Isakowicz (1824–1901), konsekrowany w 1882 r.

Czasy obecne. Do kaplicy rzym.kat. pw. Wniebowzięcia NPM w Łyścu dojeżdżają ze Stanisławowa księża Kazimierz Halimurka i Stanisław Smolczewski.

(M.T.)

OTYNIA (OTTYNIA)

Położenie. Miasteczko w pow. tłumackim, woj. stanisławowskim, odległe o 20 km. od Tłumacza i 23 km na pld.wsch. od Stanisławowa, stacja kolejowa na linii (Lwów-) Stanisławów-Śniatyn (-Czerniowce). Otynia leży w międzyrzeczu Bystrzycy i Dniestru, nad rzeczką Weleśnicą, 268 m n.p.m. Okoliczne bagniste tereny, o nieurodzajnej glebie dały początek porzekadłu *Kupił sobie Otynię*, na określenie niekorzystnego zakupu. Na pocz. XX w. było tu ok. 5000 mieszkańców. Ludność tutaj była zatrudniona w fabryce wódek i liķierów, olejarniach i cegielniach. Trudniła się też handlem, gdyż w Otyni odbywały się znane jarmarki na bydło. Parafie obu obrządków katolickich były na miejscu.

Historia. Początki miasteczka nieznanne. Należała do królewskich, oddanych w ręce Potoczkich. W 1669 r. Andrzej Potocki, kasztelan krakowski, ufundował parafię rzym.kat. i wystawił pierwszy kościół, drewniany, konsekrowany w 1775 r. Otynia słynęła z handlu solą i tytoniem oraz z garncarstwa. W 2. poł. XIX w. właścicielem posiadłości dworskiej był Daniel Łukasiewicz (vel Łukaszewicz). W rękach tej rodziny pozostała Otynia jeszcze w pocz. XX w. Za czasów Łukasiewiczów wybudowano nowy dwór, dawny przeznaczając na fabrykę maszyn rolniczych. Na pocz. XX w. Otynia, w której żyło ok. 2000 Żydów, była siedzibą cadyka cudotwórcy.

Zabytki. Kościół parafialny pw. Wniebowzięcia NP Marii, trójnawowy, jednowieżowy, w stylu neoromańskim, wybudowany ok. 1910 r. Po II wojnie światowej zamknięty.

Czasy obecne. Kościół zwrócony do kultu w 1992 r. Parafię obsługują księża dojeżdżający ze Stanisławowa.

(M.T.)

seminarium duchowne. Jako kapłan pracował na Bukowinie, potem u św. Elżbiety we Lwowie, i równocześnie studiował. Doktorat teologii uzyskał na uniwersytecie w Innsbrucku, po czym podjął pracę katechety w I Gimnazjum we Lwowie. Następnie został powołany do pracy naukowo-dydaktycznej na Uniwersytecie Jana Kazimierza. W r. 1918 arcybiskup Bilczewski mianował go plenipotentem w dobrach ziemskich archidiecezji lwowskiej, a potem wicedyrektorem seminarium duchownego. W końcu objął parafię i dekanat w Belzie. W latach II wojny nawiązał tam kontakt z polskim podziemiem (punktem kontaktowym była apteka Józefa Grosa, porucznika WP, sybiraka i hallerczyka). Utworzono komórkę ZWZ oraz szlak przerzutowy dla wojskowych z terenu okupacji niemieckiej na teren okupacji sowieckiej i do Lwowa. Stworzono kryjówki na broń i ośrodki nasłuchu radiowego. W sierpniu 1941 ks. Dymitrowski został aresztowany przez gestapo i przewieziony do Lwowa, gdzie przeszedł okrutne śledztwo, a w końcu został wywieziony na miejsce stracenia. Według świadków stało się to w grudniu 1941 r.

Tablicę gen. Sawickiego odsłonili mjr T. Matyszewski i prof. por. J. Węgierski, zaś tablicę ks. Dymitrowskiego – jego dwaj bratankowie, Władysław i Jakub. Poświęcenia tablic dokonał ks. prałat Dziasek, który następnie został udekorowany odznaką Honorowego Członka SZŻAK za opiekę oraz pomoc duchową i materialną kresowym kombatantom. Uroczystość zakończyła się odśpiewaniem Roty.

Konrad Sura

Notatki

◆ Uroczystości obchodzono na Uniwersytecie Jagiellońskim 60. rocznicę pamiętnej *Sonderaktion-Krakau* – aresztowania przez Niemców kilkudziesięciu profesorów w listopadzie 1939 r. W ramach tej uroczystości odsłonięto też w monumentalnej klatce schodowej Collegium Novum **tablicę, upamiętniającą aresztowanie i zamordowanie profesorów uczelni lwowskich** w dniu 4 lipca 1941 r. Treść tablicy brzmi następująco:

UNIwersytet Jagielloński Pomny Związków z Uniwersytetem



Odsłonięcie tablicy. Przemawia rektor F. Ziejka. Obok kard. F. Macharski i min. M. Handke

JANA KAZIMIERZA WE LWOWIE ODDAJE HOŁD PAMIĘCI PROFESORÓW UNIwersYTETU JANA KAZIMIERZA ROZSTRZELANYCH W LIPCIE 1941 ROKU PRZEZ HITLEROWCÓW ORAZ INNYCH OFIAR ZBRODNI I PRZEŚLADOWAŃ STALINOWSKICH I HITLEROWSKICH W CZASIE II WOJNY ŚWIATOWEJ.

Warto przypomnieć, że jest to już druga w Krakowie tablica ku czci lwowskich profesorów. O pierwszej, wmurowanej w r. 1967 w krużganku klasztoru oo. Franciszkanów, napiszemy osobno.

◆ 22 listopada 1999 została tradycyjnie w Bazylice Mariackiej w Krakowie odprawiona msza św. za Orleńską Lwowskie. Koncelebrował ją, jak corocznie, ks. infułat Stanisław Małyśiak wspólnie z o. Adamem Studzińskim i ks. prof. Józefem Wołczańskim. Po mszy odbyła się również tradycyjna akademii rocznicowa w Kapitularni oo. Dominikanów. Wystąpił Chór „Amicus” pod dyrekcją D. Degórskiej-Czubek, Zespół „Pro-Contra”, a swoje wiersze deklamowali Magdalena Paździora i Wiesław Krawczyński.



Prof. Danuta Degórska-Czubek i Chór „Amicus”

◆ Z początkiem grudnia '99 odbyła się w Krakowie i Warszawie druga już konferencja w ramach programu, prowadzonego przez krakowski Ośrodek Myśli Politycznej pt. **Państwo Polskie wobec Polaków na Wschodzie. Poszukiwanie modelu polityki**. O pierwszej konferencji (Kazimierz Dolny, VI 1998) donosiliśmy w CL S/98. Tytuł drugiej brzmiał: *Polacy na Wschodzie. Dziesięć lat po odzyskaniu niepodległości przez Polskę*. Zastanawiano się tam nad problemami: *Pomoc, wsparcie czy współpraca – jak skutecznie kierować polskie środki przeznaczone dla Polaków na Wschodzie – hierarchia celów; Instytucje III RP zaangażowane w pomoc Polakom na Wschodzie; Pożądany model działalności organizacji polskich na Wschodzie*. Oprócz obu konferencji odbywały się również sprofilowane warsztaty.

Uczestnikami programu są politycy i przedstawiciele rządowych instytucji. Obserwatorem z ramienia Oddziału Krakowskiego TMLiKPW oraz Redakcji CL była dr Romana Machowska.

◆ W krakowskim oddziale Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” odbyło się z końcem listopada ub.r. walne zebranie sprawozdawczo-wyborcze, na którym prezesem wybrano ponownie prof. dra Zygmunta Kolendę. Serdecznie gratulujemy. Jak pamiętamy, Profesor jest inicjatorem stałej, cokwartalnej pomocy finansowej dla najbardziej potrzebujących we Lwowie i innych miejscowościach Małopolski Wschodniej (jak dotąd poza Lwowem pomoc dociera jedynie do Stanisławowa). Środki na ten cel pochodzą ze zbiorów i wpłat na konto W.P. Pisaliśmy o tym w CL 3/99.

◆ W październiku 1999 r. w Krakowie zmarł Roman Mackiewicz, artysta muzyk, urodzony we Lwowie w 1917 r. Do II wojny jako dyrygent prowadził chór katedralny we Lwowie. Po wojnie był kierownikiem muzycznym oper w Bytomiu i Krakowie oraz filharmonii w Bydgoszczy, dyrygentem oper w Warszawie, Łodzi i Lublinie. Prowadził też chóry – ostatnio chór archikatedry wawelskiej. Spoczął na cmentarzu Rakowickim.

◆ Prasa doniosła o ślubie następcy tronu Belgii, księcia Filipa, z hrabianką Matyldą d'Udekem d'Acoz, której matka jest Polką –

RUDA

Położenie. Miasteczko w pow. żydaczowskim, wojew. stanisławowskim, położone nad rzeką Stryj, w odległości 11 km od Żydaczowa. Liczyło niepełna 1000 mieszkańców.

Historia. O przeszłości Rudy niewiele wiadomo. Po raz pierwszy nazwa ta występuje w dokumencie z 1435 r., w którym figuruje Demetrius Danyłowicz de Ruda. Do Daniłowiczów Ruda należała jeszcze w 1. poł. XVII w. W latach 1621–27 Jan Daniłowicz, pan na Olesku, ufundował w Rudzie parafię rzym.kat. oraz wystawił i uposażył drewniany kościół. Przez pewien czas w poł. XVII w. Ruda miała być własnością Wojankowskich, ale już w 2. poł. stulecia jej właścicielem był Jan Wyhowski, hetman kozacki i wojewoda kijowski, a po nim jego syn. Następnie przeszła do Pietruskich, w których rękach pozostawała aż do XX w., z przerwą w 2. poł. XVIII w., kiedy to jako właściciele występują w źródłach Borkowscy. Za ich czasów Ruda straciła na znaczeniu, gdyż w 1780 r. spłonął kościół parafialny, a siedziba parafii została przeniesiona do pobliskiej Kochawiny (zob.). Na początku XIX w. powróciła do rodziny Pietruskich. Po bezpotomnej śmierci Konstantego Pietruskiego wdowa utworzyła w 1890 r. fundację, której celem było przyznawanie stypendiów miejscowej młodzieży na studia rolnicze, oraz rent starszym osobom z kilku spokrewnionych z Pietruskimi rodzin. Fundacja istniała do września 1939 r.

Zabytki. Dwór, wybudowany przez Jana Pietruskiego, został rozebrany w r. 1900. Pozostała tylko oficyna parterowa, nakryta czterospadowym dachem, z portykiem kolumnowym przed wejściem, z 1. ćwierci XIX w. Nowy dwór postawiono dla potrzeb fundacji na pocz. XX w.

Park krajobrazowy, niewielki, ze starymi dębami, liczącymi ponad 200 lat.

(M.T.)

ZALOŻCZE (uzupełnienie do CL 2/99)

Kościół parafialny i cerkiew znajdują się w Starzych Zażoźcach, a dawny klasztor augustiański – potem szpital – i klasztor ss. Szarytek, które prowadziły również sierociniec dla dziewcząt – w Nowych Zażoźcach.

Funkcję kościoła parafialnego pełni obecnie kaplica klasztorna ss. Szarytek, a właściwy kościół znajduje się w stanie daleko posuniętej ruiny. Po II wojnie z jego dachu zdarto blachę, co doprowadziło z czasem do zawalenia się stropu, pozostały tylko rozsypujące się mury.

Zażoźce utraciły w latach powojennych prawa miejskie, obecnie są wsią.

wg inf. p. Heleny Szmigielskiej, Warszawa (M.T.)

Anna Maria z hr. Komorowskich. Warto więc zwrócić uwagę, że stary ród Komorowskich herbu Korczak – jak wszystkie rodziny pieczętujące się tym samym herbem – wywodzi się ze wschodniej części Polski: z pogranicza ziem chełmskiej, bełskiej, Wołynia i Lubelszczyzny. Rozeszli się po całej Polsce, w XV i XVI w. byli też na Orawie i Liptowie, do nich należała wtedy Żywiecczyzna (w Żywcu zbudowali zamek, który w XIX i 1. poł. XX w. należał do Habsburgów). Pozostali też w Małopolsce Wschodniej. Słynna, opisywana w literaturze (przede wszystkim w poemacie Antoniego Malczewskiego *Maria*) była sprawa Gertrudy Komorowskiej, zaślubionej w 1770 r. Szczęsnemu Potockiemu z Krystynopola, porwanej zaraz po ślubie i utopionej). Była ona córką Jakuba Komorowskiego z Suszna (między Krystynopolem a Radziechowem). Tadeusz Komorowski – gen. Bór urodził się w Chorobrowie w Tarnopolskiem. Do innych linii należał Bojanów (k. Niska – woj. lwowski) i Gwoździec Stary (k. Kolumbia).

Była też inna rodzina o tym samym nazwisku, lecz herbu Ciołek, pochodząca z ziemi nowogrodzkiej, a osiadła również na Wołyniu, Podolu i ziemi halickiej.

KULTURA NAUKA

O „ORGANUM” NIESKOŃCZENIE...

Wielka gala jubileuszowa na 30-lecie Chóru „Organum” i 10-lecie związanego z nim zespołu instrumentalnego „Ricerca” odbyła się w krakowskim kościele oo. Franciszkanów w połowie października 1999. Msza św., jubileuszowy koncert, a wreszcie spokanie przyjaciół i sympatyków z chórzystami i muzykami w klasztornej auli wypełniły sporą część jesiennej niedzieli. Na koncert złożyły się utwory sakralne różnych kompozytorów, przede wszystkim ulubionego przez prof. Bogusława Grzybka twórcy z przełomu XVII/ XVIII w. Grzegorza Gorczyckiego. Na zakończenie zaśpiewano niezwykle wpadający w ucho Hymn Uwielbienia Juliusza Łuciuka (ur. 1927).

O jubileuszu i odznaczeniu Chóru przez Ojca Św. pisaliśmy już w CL 3/99. Pisaliśmy tam też o licznych wyjazdach „Organum” na Ziemię Wschodnie. Zacytujmy słowa samego Bogusława Grzybka, wydrukowane w programie jubileuszowego koncertu:

...cała przeszłość to dziesiątki niezapomnianych przeżyć, spotkań, koncertów (do 50 rocznie), podróży na zachód, północ, południe. Wśród nich te najbardziej wzruszające – na wschód: do Lwowa, Grodna, Wilna, Czerniowiec, Stryja, Krzemieńca, Drohobycza, wszędzie tam, gdzie świątynia znaczy obecność Boga i ludzi...

Pisaliśmy wcześniej (CL 3/99) o koncertach „Organum” w Krakowie w ostatnich latach zniewolenia, o niezwykłym wieczorze na Cmentarzu Orłąt. A na Grodzieńszczyźnie chór śpiewał nad mogiłą Bohatyrowiczów, o niezwykłej zaś postawie Profesora i jego zespołu świadczy i takie wydarzenie: będąc nad Niemnem, chórzyci śpiewali pieśni, wszedłszy po kolana do wód tej rzeki – jednej ze świętych rzek Rzeczypospolitej...

Takich wydarzeń było i jest wiele w życiu Chóru „Organum” Bogusława Grzybka. I będą. W przyszłym roku planowana jest nowa wyprawa do Lwowa i uczczenie muzycznej rodziny Sołtysów, do których twórczości B. Grzybek ma szczególną admirację.

DZIEJE KOŚCIOŁA LWOWSKIEGO

Prof. Tadeusz Trajdos z Warszawy powiadamia nas, że od paru lat wznowił badania nad dziejami Kościoła katolickiego i życiem religijnym na obszarze metropolii lwowskiej w późnym średniowieczu. Obecnie przygotowuje książkę *Mendykanci średniowiecznego Lwowa*, studium o zakonach tzw. żebrzących w tym mieście w XIV–XV w. Na ten temat opublikował już parę artykułów: 1. *Karmelici we Lwowie w XV w.* (w: „Przegląd Historyczny” t. 87, 1996, z. 3); 2. *Kościół dominikanów lwowskich w średniowieczu jako ośrodek kultowy* (w: „Nasza Przeszłość” t. 87, 1997); 3. *Uposażenie klasztoru dominikanów lwowskich w średniowieczu* (w: „Nasza Przeszłość” t. 91, 1999); 4. *Dobroczyńcy mendykantów średniowiecznego Lwowa*, (w: „Społeczeństwo Polski średniowiecznej” t. 8, Warszawa 1999). Z wymienionych dwa ostatnie omawialiśmy w CL 4/99.

Odrębnie prowadzone studia nad przeszłością Drohobycza przyniosły już trzy publikacje: książkę *Inskrypcje historyczne fary w Drohobyczu* (omawialiśmy w CL. 2/98) oraz dwa artykuły: *Uposażenie fary w Drohobyczu i Ołtarze fary drohobyckiej w świetle dawnych wizytacji*, oba wydane w almanachu karpackim „Płaj” t. 13, 1996 i t. 15, 1997.

Wreszcie obfity plon studiów nad Kościołem katolickim czasów Jagiellów na tych samych ziemiach (z niewydanego II tomu rozprawy doktorskiej) pozwolił na publikację dwóch artykułów dotyczących ziemi przemyskiej: 1. *Miechowici na ziemi przemyskiej za panowania Władysława II Jagiellów* (w: *Folia Historica Cracoviensia* t. 4–5, 1997–1998), 2. *Kapituła katedry przemyskiej i kuria biskupia w czasach Władysława Jagiellów* (W: „Przegląd Historyczny” t. 88, 1997, z. 3–4). Niezorientowanym Czytelnikom wyjaśniamy, że do historycznej Ziemi Przemyskiej należał również Drohobycz, Sambor, Mościska.

Tadeusz M. Trajdos jest docentem dr hab. Instytutu Historii PAN w Warszawie oraz profesorem w Mazowieckiej Wyższej Szkole Humanistyczno-Pedagogicznej w Łowiczu.

Kronika

◆ W krakowskim Muzeum Narodowym otwarto z końcem listopada '99 wystawę **Ormianie polscy. Odrębność i asymilacja**, która poprzez obiekty sztuki i rzemiosła artystycznego obrazuje historię tej grupy etnicznej w naszym kraju. Większość eksponatów z różnych epok jest związana oczywiście ze Lwowem, Pokuciem i całą Małopolską Wschodnią (proponujemy powrócić do



SPIS HASEŁ SŁOWNIKA ZAMIESZCZONYCH W ROCZNIKU 1999

Bielosko (Lwów)	S/99
Bóbrka	1/99
Bukaczowce	1/99
Cetnerówka (Lwów)	4/99
Delatyn	1/99
Holosko Wielkie i Małe	S/99
Kastelówka (Lwów)	S/99
Kleparów (Lwów)	S/99
Koropiec	3/99
Kotów	2/99
Kulparków (Lwów)	4/99
Kozielniki	4/99
Liłiatyn	2/99
Lwów (rozwój i ustrój)	S/99
Medenice	1/99
Mikulińce	3/99
Paparówka (Lwów)	4/99
Persenkówka (Lwów)	S/99
Pieniaki	3/99
Poturzyca	3/99
Raj	3/99
Rawa Ruska	1/99
Reniów	2/99
Sichów	4/99
Skniłów (Lwów)	4/99
Snopków (Lwów)	S/99
Sokolniki	4/99
Szczurowice	2/99
Założce	2/99, uzup. 1/2000
Zamarstynów (Lwów)	S/99
Zboiska	S/99
Zniesienie (Lwów)	4/99
Zubrza	4/99
Żelazna Woda (Lwów)	S/99
Żurawno	3/99

SPISY HASEŁ ZAMIESZCZONYCH W POPRZEDNICH ROCZNIKACH:

1995 i 1996 – CL 1/97, s. 33

1997 – CL 1/98, s. 47

1998 – CL 1/99, s. 33–35

Srebrna skrzynekczka-relikwiarzyk z kościoła ormiańskiego w Stanisławowie (obecnie w Muzeum Historycznym we Lwowie). Wyrób warsztatu ormiańskiego w Stanisławowie, XVII w.

artykułów w orientalistycznym numerze CL 3/98). Wystawę zapełniają meble, tkaniny, hafty i szaty, księgi kościelne z iluminacjami, broń, uprzęże końskie, drobne przedmioty złotnictwa, dokumenty. Pokazano również stare dzieła armeńskiej wytwórczości artystycznej, które znalazły się w Polsce za pośrednictwem Ormian, przybywających do nas od średniowiecza, głównie z nad Morza Czarnego. W końcowej części wystawy wyeksponowano malarstwo już o charakterze europejskim (XIX–XX w.), tworzone przez Polaków ormiańskiego pochodzenia: Aleksandra Augustynowicza, Teodora Axentowicza, Antoniego Stefanowicza i innych – głównie portrety Ormian, pań, panów i dzieci (a także nie tylko przez Ormian malowane).

Na wystawie znalazły się przedmioty wypożyczone z ponad 30 muzeów – w tym dwóch lwowskich (trzeba pamiętać, że znalazły się w nich zbiory przedwojennego Ormiańskiego Muzeum Archidiecezjalnego, zlikwidowanego przez Sowietów), oraz od kilkunastu osób prywatnych. Była to pierwsza w Polsce tak szeroko zakrojona wystawa sztuki ormiańskiej. Z jej okazji wydano wspaniały album ze zdjęciami i opisami wszystkich eksponatów, a także ciekawymi omówieniami – patrz *Książki-Czasopisma* w tym numerze.

Członkowie krakowskiego oddziału TMLiKPW (wraz z uczestnikami kursu przedmaturalnego dla młodzieży polskiej z państwa ukraińskiego),



Lwowski arcybiskup ormiański Izaak Mikołaj Isakowicz. Mal. Teodor Axentowicz, Lwów 1886

w ok. 100-osobowej grupie zwiedzili wystawę, zaproszeni i oprowadzeni przez jej twórczynię, p. dr Beatę Biedrońską-Słotową. Serdeczne podziękowanie.

◆ Na początku grudnia '99 wystąpił w Krakowie (w salce pod Ratuszem) zespół pn. Lwowska Scena-Studium „Galiciana”, niedawno utworzona przez znaną nam już Zofię Iwanow, która do niedawna była aktorką i muzykiem w Polskim Teatrze Ludowym we Lwowie. Zespół – poza panią Zosią – złożony z nie-Polaków, przedstawił spektakl słowno-muzyczny, oparty na poezji i listach do Matki **Juliusza Słowackiego pt. *Poeta i Natchnienie***. Aktorzy zaprezentowali dobry poziom swojej sztuki i doskonale opanowaną polszczyznę, świetni byli muzycy.

◆ W grudniu '99 środowisko muzyczne Krakowa obchodziło uroczyste 75-lecie urodzin znakomitej kompozytorki, **Krystyny Moszumańskiej-Nazar**. Kiedy mówiono o jej wielorakiej aktywności i sukcesach na wielu polach – m.in. o pozyskaniu ogromnego gmachu b. Komitetu Wojewódzkiego dla Akademii Muzycznej, której była rektorem – wyjaśniła: – *To wszystko przez lwowską fantazję*. Gazety krakowskie szeroko relacjonowały jubileusz Pani Profesor.

Przypomnijmy przy okazji, że w listopadzie ub.r. minęło 5 lat od wykonania koncertu „Homagium Leopoli”, do którego zorganizowania Pani Profesor walenie się przyczyniła (pisaliśmy o tym w CL 1/95 i 4/96). Na koncert złożyły się specjalne kompozycje siedmiu wybitnych twórców polskich o lwowskim rodowodzie (Kilar, Kurylewicz, Machl, Moszumańska-Nazar, Nikodemowicz, Schaeffer, Skrowaczewski).

◆ Kompozytor Stanisław Radwan wydał ostatnio album płytowy pt. „**Herbert – Przesłanie**”, na którym przypomniał spektakl sprzed 20 lat, zatytułowany *Powrót Pana Cogito*. Utwory Radwana wykonują Orkiestra „Sinfonietta Cracovia” oraz Chór „Angelus”, wybitni soliści klasyczni (Janusz Olejniczak i Konstanty Kulka) i jazzowi oraz grono znakomitych aktorów (m.in. P. Machalica, J. Trela, Z. Zamachowski). Intencją kompozytora było oddanie hołdu wielkiemu Poeecie.

Książki czasopisma

Nowe książki

 Nr 4/99 **Zeszytów Literackich** (kwartalnik, Warszawa–Paryż–Mediolan) poświęcony jest w przeważającej większości Zbigniewowi Herbertowi. Znajdujemy tam zarówno wiersze wielkiego Poety (w tym *inedita*, poświęcone Grecji), jego korespondencję, rozmowę Renaty Gorczyńskiej z nim przeprowadzoną, jak i wspomnienia o nim: Adama Zagajewskiego, Konstantego Jeleńskiego, Josifa Brodskiego, Francesco Cataluccio, Czesława Miłosza i in. W numerze sporo zdjęć Herberta z różnych okresów jego życia, a także jego rysunki. Przytoczmy na koniec zamieszczony w omawianym numerze wiersz A. Zagajewskiego (też lwowianina z urodzenia i też kandydata do Nobla):

POŻEGNANIE ZBIGNIEWA HERBERTA

*Z początku tylko wiśnie i śmieszny lot
nietoperzy, jabłko księżycy a senna sowa,
smak zimnej wody na pierwszych
wycieczkach.
Wieże tego miasta, jak miłosne wyznania.
Później, dużo później, złoty kurz Prowansji,
figowce w winnicach, lekcja białej Grecji,
prowincjonalne muzea, Piero i jego
„Madonna w ciąży”
– a pośrodku dwie okupacje, dwie nieludzkie
armie,
niezgrabne pojazdy śmierci na twoich ulicach.

Długie dni, kiedy tłumaczyłeś Georga Trakla
„Śpiew pojmanego kosa”, radość pierwszego
Paryża
po latach sowieckiej brzydoty i biedy;
twój figlarny uśmiech, chłopięce żarty, humor
i powaga, z jaką zwiedzałeś katedrę
w Meaux
(Bossuet patrzył na nas raczej surowo),
Berlińskie wieczory: Herr Doktor, Herr
Privatdozent,
ryż, który sypałeś jak konfetti na ślubie
przyjaciół
lecz także cisza i gorycz złych miesięcy.*

*Lubiłem sobie wyobrażać twoje spacer
w Ligurii czy Umbrii: eleganckie łowy,
poszukiwanie tego miejsca, gdzie topnieje
lodowiec przeszłości i odslania formy.
Lubiłem sobie wyobrażać twoje wędrówki
w górach poezji, poszukiwanie tego miejsca,
w którym milczenie nagle wybucha mową.
Ale spotykałem cię zawsze w ciasnych
mieszkaniach
tych szarych molochów, zwanych wielkim
miastem.*

*Przypominałeś mi czasem o tragizmie życia.
O tobie życie pamiętało prawie codziennie.
Myślę o twoich rówieśnikach, zmiążdżonych
przez los,
o tym, jak zachorowałeś w Madrycie,
w Amsterdamie
(hotel Ambassade), i nawet w świętej
Jerozolimie,
o szpitalu Saint-Louis, gdzie leżałeś w lecie,
gdy upał topił ściany domów i granice państw,
o twoich ostatnich tygodniach w Warszawie.
Podziwiam królewską dumę twoich wierszy.*

 Postać wielkiego polskiego uczonego, Eugeniusza Romera, geografa i kartografa światowej sławy, staje się tematem coraz większej liczby opracowań. Ostatnio ukazała się książka ks. **Stefana Misińca pt. Dar nawrócenia. Doświadczenie łaski w procesie nawrócenia Eugeniusza Romera** (Wydawnictwo św. Stanisława BM Archidiecezji Krakowskiej, Kraków 1998), która omawia jeszcze jedną, a mało znaną ogólnie stronę osobowości tego niezwykłego człowieka. Eugeniusz Romer (1871 Lwów – 1954 Kraków. Jego sylwetkę zamieściliśmy w CL 3/97) w młodości odszedł od wiary, by w latach po I wojnie do niej powrócić, a nawet na tyle ją zintensyfikować, by już w czasie II wojny odsunąć się od normalnego życia i poświęcić się pogłębieniu życia wewnętrznego oraz studiom teologicznym. Swoje przemiany duchowe opisał **Eugeniusz Romer w Pamiętnikach** (wyd. „Znak”, Kraków 1988), zaś wspomniana wyżej książka ks. Misińca daje ich analizę opartą na gruncie fenomenologii.

Trzeba jeszcze dodać, że profesor Romer opracował na użytek konferencji pokojowej w Paryżu (1918-19) *Geograficzno-statystyczny atlas Polski*, w którym m.in. uzasadnił prawa Polski do Ziemi Wschodnich

(nie tań niechęci do Ukraińców). Swój udział w tej konferencji opisał w *Pamiętniku paryskim 1918–1919* (wyd. Ossolineum 1989).

Przypomnijmy na koniec, że syn profesora **Edmund Romer** wydał książkę biograficzną o swym ojcu pt. **Geograf trzech epok** (wyd. „Czytelnik”, Warszawa 1985).

Książkę ks. Misińca można dostać w księgarniach katolickich. Inne chyba już niedostępne w handlu.

📖 Niezwykle ciekawą i ważną serię książeczek pod wspólnym nadtytułem **Wierni Bogu i Polsce Drohobyczanie**. Redaktorem pokazanego już zestawu opracowań jest o. **Dominik Marian Orczykowski**, a jego współpracownikiem redaktor znakomitego periodyku „Ziemia Drohobycka” (niebawem omówimy to czasopismo na naszych łamach), p. **Jerzy Pilecki**. Dotychczas wydano 13 zeszytów serii – dwa ostatnie niżej omawiamy.

Spośród zeszytów 0–13, numery 0, 3 i 5 traktują o drohobyckich Polakach, zamordowanych, więzionych i zesłanych przez Sowieców; numery 1, 4 i 7 dokumentują zjazdy i pielgrzymki. W zeszycie 6 mowa o duchowieństwie drohobyckim, a nr 9 to kronika klasztoru oo. Kapucynów w Drohobyczu.

W zeszycie 11 (wyd. Oficyna Wydawnicza „W Misji”, Wrocław 1997) znajdujemy 14 tekstów na różne tematy. Otwiera go wspomnienie E. Dyląg o najstynniejszej chyba ulicy Drohobycza (jakby tamtejszej Łyczakowskiej?) – Wójtowskiej Górze. Ulica ta i nam jest bliska, bo tam mieszka nasz przyjaciel i autor – patrz CL 4/99 – pan Adam Chłopek (pozdrowienia, panie Adamie!).

Zeszyt 12 (wyd. jw., 1999) to **Walka o zwrot kościoła w Drohobyczu 1988–1989**, opisana przez braci **Czesława** (Drohobycz) i **Adolfa** (Szwajcaria) **Bulkiewiczów**. Czesław był jednym z bohaterów batalii, wespół z Adamem Chłopkiem i kilkunastoma innymi osobami (których nazwisk nie wymieniono). Pomimo piętrzonych, całkowicie subiektywnych trudności, kościół odzyskano w 1989 r., po 40 latach zamknięcia. 23 grudnia ub. roku minęło więc 10 lat od ponownego poświęcenia tej wspaniałej budowli.

Przypomnijmy, że kościół św. Bartłomieja w Drohobyczu, gotycka, trójnawowa świątynia, druga co do wielkości – po lwow-



Portal fary drohobyckiej. Po bokach miecze grunwaldzkie Władysława Jagiełły, nad portalem herby Drohobycza i Polski

skiej katedrze – istniejąca w Małopolsce Wschodniej, powstała w XV w. na podstawie dokumentu króla Władysława Jagiełły z 1392 r. W ciągu wieków zyskała wspaniałą wystrój: polichromie, nagrobki, ołtarze – te ostatnie jednak zostały doszczętnie zniszczone (podobnie jak cenna biblioteka) przez sowieckich barbarzyńców.

Zeszyty do nabycia pod adresem: Redakcja „Ziemi Drohobyckiej”, 53-338 Wrocław, ul. Wielka 31/14.

Na marginesie: zgrzytem w omówionej książeczce (z. 12) jest przedmowa, napisana przez biskupa Stanisława Padeńskiego, który w imię swojej prywatnej polityki (a „politykę” innych gani), wypomnił bohaterom czterdziestoletnich cierpień i zmagañ o przechowanie wśród polskiej społeczności wiary swoich ojców – przywiązanie do języka polskiego. W ujęciu biskupa wygląda to tak (cytujemy z przedmowy): [...] *fatalne mieszanie polityki do spraw religii i zacieśnianie rytu rzymskokatolickiego do polskiej grupy etnicznej. Niestety ten stereotyp traktowania Kościoła rzymskokatolickiego nie zniknął z upadkiem totalitarnego systemu i tu i ówdzie funkcjonuje [...].* I leż

w tym pogardy dla Polaków, którzy chcą się modlić – i mają do tego prawo – w języku ojców. Do sprawy krótkowzrocznej antypolskiej działalności bpa Padewskiego wrócimy.

📖 Dopiero niedawno wpadł nam w ręce album artystyczno-konserwatorski **Żółkiew**, opracowany przez **Piotra Kozarskiego** (fotografie i życiorysy) i **Tadeusza Swatę** (teksty), a wydany przez Fundację Ochrony Zabytków (Warszawa 1997). Autorzy dają najpierw krótki rys topograficzno-historyczny Żółkwi, a następnie omawiają dokładnie główny zabytek tego miasta, zarazem jedną z najbardziej czcigodnych świątyń Wschodniej Małopolski i całej Polski – kolegiatę, dziś po prostu kościół parafialny pw. św. Wawrzyńca. W odróżnieniu jednak od monografii historyczno-artystycznej pióra Jerzego Petrusa (patrz CL 2/98) oraz tomu 2. *Materiałów do dziejów sztuki sakralnej*, poświęconego Żółkwi tegoż autora, autorzy omawianej tu książki nie zajmują się szczegółową analizą poszczególnych elementów świątyni i jej wyposażenia, lecz aspektami konserwatorskimi. To samo czynią z innymi zabytkami Żółkwi i jej okolicy. W sumie książka jest niezwykle interesująca i warto się z nią zapoznać, zwłaszcza – podobnie jak z pracami Petrusa – wybierając się do Żółkwi.

Książka była do dostania w księgarniach naukowych.

📖 Z okazji wystawy ormiańskiej, o której piszemy w dziale *Kultura-Nauka*, Muzeum Narodowe w Krakowie wydało katalog-album **Ormianie polscy. Odrębność i asymilacja** (Kraków 1999). Autorami tekstów są: **Beata Biedrońska-Słotowa** (*Sztuka i kultura w Armenii i ormiańskiej diasporze*), **Andrzej Pisowicz** (*Jakimi językami mówili polscy Ormianie*) oraz **Jerzy Petrus** (*Archidiecezjalne Muzeum Ormiańskie we Lwowie*). Równocześnie wydano mały albumik pt. **Ormianie polscy. Przewodnik dla dzieci**. Pomysł wart powielania!

Pozycje można zakupić w kiosku Muzeum Narodowego w Krakowie w głównym gmachu przy al. Mickiewicza.

📖 Nakładem Biblioteki Narodowej (Warszawa 1999) ukazał się tomik poezji **Mieczysławy Piotrowskiej: Supelki tęsknoty**. Piotrowska urodziła się w Kurowicach pod

Lwowem. Kontynuując rodzinną tradycję, została nauczycielką, a drobne utwory zaczęła pisać jeszcze jako uczennica lwowskiego Seminarium Nauczycielskiego. Drukowano je w gazetce szkolnej i w ówczesnej prasie. Wybór jej wierszy został włączony do antologii twórczości współczesnych polskich poetów żyjących w państwie ukraińskim, wydanej przez „Wspólnotę Polską” w 1996 r. Wcześniej, w 1994 i 1995 r. wiersze Piotrowskiej wyróżniono w paru konkursach literackich, m.in. w Przemyślu. Kontakt z krajem zachowała poetka prenumerując niektóre czasopisma. Z nich dowiadywała się o bohaterach minionej wojny – prezydencie S. Starzyńskim, poecie K.K. Baczyńskim, K. Guderskim – dowódcy obrony Poczty Polskiej w Gdańsku. Poświęciła im wiersze, które wydrukowała prasa polska, a to doprowadziło do serdecznych kontaktów autorki z członkami ich rodzin.

Obok wierszy patriotycznych, w pisarskim dorobku poetki spotykamy wiersze zainspirowane przyrodą, którą wnikliwie obserwowała i mocno przeżywała. Jest w tej poezji refleksyjny stosunek do rytmu przemian, sugestywność słowem malowanych obrazów, monolog wewnętrzny, a także antropomorfizm, jak np. w wierszu *Kiplingowskie hasło*. Jaka szkoda, że Mieczysława Piotrowska nie doczekała tej pieczołowicie wydanej książeczki (I. S.).

Książka do nabycia w oddziałach TMLiKPW.

📖 Nasze – ekspatriantów ze Wschodu – doświadczenia gastronomiczne, zdobywane po II wojnie w różnych zachodnich częściach kraju, przekonały nas, że naprawdę dobrze zjeść można tylko w lwowskim domu (zapewne też w wileńskim, no – może jeszcze tradycyjnym warszawskim. Oryginalne mogą być potrawy regionalne u Ślązaków lub Górali, ale resztę nabić w armatę...).

Z zadowoleniem przeto witamy nową książkę kucharską, napisaną przez państwa **Krystynę i Tadeusza Krzyżewskich** w Krakowie, pt. **Przysmaki lwowskie** (wyd. „W kolorach tęczy”, Wrocław 1999 – choć napisano 2000).

Pana doktora Krzyżewskiego znają wszyscy lwowiacy, bo napisał już немало – w CL 2/95 omawialiśmy jego *Księżę humoru lwowskiego*. We wcześniejszych

latach publikował systematycznie w londyńskim Biuletynie „Lwów i Kresy”, ale były to zazwyczaj tematy kulturalno-historyczno-polityczne. Ostatnio preferowane są odpowiednio, aż tu nagle – kulinaria. To zapewne Pani Krystyna sprowadziła swego Męża na ziemię. Ścisłej – na stół.

Książka zawiera 200 przepisów w 10 grupach: *pasty i sosy, sałatki, zupy, potrawy mączne i kasze, jarzyny, potrawy z mięsa, drób i ryby, torty i ciasta, leguminy i sałatki owocowe*, i na koniec „groch z kapustą” (jako ostatnia w tej grupie jest nalewka owocowa).

Co zwraca uwagę w tej książce: połączenie lwowskich potraw tradycyjnych z całym (chyba) nowymi. Są więc pierogi i buchty z kremem, ale jest również sos keczupowy. Kto we Lwowie, Stanisławowie czy Tarnopolu słyszał o keczupie? Po zastanowieniu musimy to jednak zaakceptować, bo przecież lwowska kuchnia w normalnych warunkach też by się rozwijała (dr Masiór przekonuje nas, że rodziłyby się także nowe piosenki!).

Trudno więc nie nabyć takiej książki – do czego (bez kumoterstwa) namawiamy. Książkę można nabyć w oddziałach TMLiKPW.

 Książka nosi tytuł prosty: **Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich – Oddział Kłodzko. Dziesięć lat działalności 1988–1998** (Kłodzko 1998). Dopiero teraz otrzymaliśmy – dzięki p. Józefowi Wiktorowi – jej egzemplarz, i zaraz po zapoznaniu się z zawartymi w niej materiałami ogarnął nas prawdziwy podziw. Środowisko kłodzkie nie należy wszak do licznie wielkich, potwierdza się więc, że nie ilość, lecz jakość...

Zbiór tekstów niemal 30 autorów, zredagowany przez **Stefana Mroza i Renatę Kuźmińską**, wydany przy finansowym wsparciu ZG TMLiKPW – chwala mu za to – składa się z sześciu działów historycznych, wspomnieniowych i wierszy. Opracowania są oryginalne i każde coś wnosi do naszej indywidualnej i zbiorowej wiedzy o Lwowie i innych miastach, w trzech epokach, które dane było naszemu pokoleniu przeżyć – czasach przedwojennych, wojennych i powojennych. Każdy z tekstów – o działalności oddziału, o kościółku na Lewandówce, o lwowskiej „Pogoni”, o Chy-

rowie, czy o tych, co odeszli – czyta się z zainteresowaniem. Zadziwia też dobry poziom wierszy. Gratulacje dla autorów i dla całego środowiska w Kłodzku!

Książkę można zamówić: Muzeum Ziemi Kłodzkiej – Tow. Miłośników Lwowa i KPW, 57-300 Kłodzko, ul. Łukasiewicza 4.

 W księgarniach krakowskich zauważyliśmy nowe tytuły, na których kupno nie pozwala już prywatna kieszeń. Może ktoś z Czytelników je nabył i zechciałby o nich napisać?

☒ **Piotr Mikietyński: *Generał Stanisław hr. Szeptycki. Między Habsburgami a Rzeczpospolitą*** (wyd. „Historia Jagellonica”, Kraków 1999).

☒ **Czesław K. Grzelak** (wybór i oprac.): ***Wrzesień 1939 na Kresach w relacjach*** (wyd. „Noriton”, Warszawa 1999).

☒ **Elżbieta Alabrudzińska: *Kościoty ewangelickie na Kresach Wschodnich II Rzeczypospolitej*** (Wydawnictwo Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, Toruń 1999).

☒ **Agata Skowrońska, Maciej Skowroński: *Karpaty Wschodnie*** (album zdjęć, wyd. Fundacja na rzecz Miasta Nowego Sącza, Nowy Sącz 1999).

Z Łodzi otrzymaliśmy zawiadomienie o książce historyka izraelskiego:

☒ **Eliyahy Jones: *Żydzi Lwowa*** (wyd. „Oficyna Bibliofilów, Łódź 1999).

Irena Suchanek, Stefan S. Łukowski

Jest co czytać (11)

CZASOPISMA STRYJSKIE

Stryj, przed wojną miasto kolejarzy, wojskowych i młodzieży, może pochwalić się w ostatnich latach kilkoma wydawnictwami. W 1971 r. w Londynie, dzięki staraniom tamtejszego Koła Stryjan (które posiada swoją dłuższą historię), zaczął ukazywać się **Biuletyn Koła Stryjan**, rozsyłany niemal na cały świat. Wszędzie tam, gdzie żyli stryjanie, docierał ten wykonany metodą małej poligrafii biuletyn, będący wówczas jedyną drogą informacji o mieście i o stryjanach, którzy żyli w krajach, gdzie nie musieli ukrywać swego pochodzenia kresowego. Twórcami tego biuletynu byli M. Magiera, E. Patryk-Głowacka, A.M. Kamiński, K. Dubrawski i inni.

Ten ostatni w następnych latach przejął ster w wydawaniu biuletynu, który – z herbem Wolnego Królewskiego Miasta Stryja, ukazywał się przez około 10 lat. Zamieszczał wiele utworów poetyckich (głównie M. Magiery), wiadomości o życiu stryjan w Londynie i na świecie, jakieś strzępy informacji o tym, co się dzieje w naszym mieście, nekrologi o tych, co odeszli itd. Również do Polski docierało to wydawnictwo, choć było wtedy zakazane. Biuletyn odegrał więc w tamtych latach ogromną rolę.

* * *

Dzięki inicjatywie i zabiegom członków „Stryjskiej Strzechy” przy Towarzystwie Miłośników Lwowa we Wrocławiu, a głównie ofiarności nieodżałowanej pamięci Krystyny Masiak-Roszek, w r. 1991 zaczął ukazywać się pierwszy w Polsce regularny biuletyn, poświęcony Stryjowi. Czasopismo to od razu zdobyło sobie wielką popularność wysokim poziomem i doborem zawsze interesujących artykułów. Do dzisiaj ukazały się już 22 zeszyty – od szeregu lat już pod redakcją Anny Wojciechowskiej. Od 1997 r. wydawnictwo to przyjęło nazwę **Biuletynu Klubu „Strzecha Stryjska”** przy ZG TMLiKPW we Wrocławiu. Biuletyn utrzymuje stale określone kolumny tematyczne. Są to więc artykuły o historii Stryja, tej najdawniejszej i najnowszej, o Madonnach Kresowych, relacje z podróży na Kresy, przede wszystkim do Stryja (tradycyjne już Pielgrzymki Gliwickie), różne wiadomości o aktualnych wydarzeniach w Stryju, wspomnienia i anegdoty o Stryju przedwojennym, o dawnych zwyczajach i obyczajach jego mieszkańców, o „Sokole” stryjskim i sporcie w tym mieście, o wybitnych stryjanach (o Makuszyńskim, Wierzyńskim), o profesorach i nauczycielach szkół stryjskich. Jest osobna kolumna, stale niestety uzupełniana, poświęcona tym, co odeszli na zawsze, relacje ze spotkań stryjan. Wiele materiału zamieszcza Biuletyn o udziale stryjan w Obronie Lwowa, w kampanii wrześniowej oraz o ich dalszych losach wojennych, o działalności w Ruchu Oporu, AK, ZWZ. Wiele można się dowiedzieć o losach stryjan w łagrach sowieckich, a także o tych na emigracji w różnych krajach i częściach świata. Czytelnik znajdzie również informacje o miejscowościach położonych blisko Stryja, takich jak Żurawno, Dębina, Truskawiec, Sokółów,

Skole, Morszyn czy Kochawina. Jest w Biuletynie poezja Wierzyńskiego, Makuszyńskiego, Magiery. W wielu numerach znajdujemy wspomnienia, te szczególne, z lat dziecięcych i szkolne zarówno ze szkół powszechnych, jak i gimnazjów stryjskich, które posiadały wielką sławę. Osobną kolumnę zajmują materiały dotyczące pomocy, jaką niosła ludność Stryja Żydom, którzy w tym mieście przeżyli prawdziwą hekatombę w czasie okupacji hitlerowskiej. Trzeba bowiem pamiętać, że ludność żydowska przed II wojną stanowiła w Stryju około połowy wszystkich mieszkańców.

Ponieważ Lwów leżał blisko Stryja, więc wielu młodych po ukończeniu stryjskich szkół średnich podejmowało studia na Uniwersytecie Jana Kazimierza, na Politechnice Lwowskiej i innych uczelniach stolicy Małopolski Wschodniej. Dlatego w Biuletynie znajdujemy dane o historii UJK, spisywane przez jego stryjskich słuchaczy. Wreszcie na zakończenie warto wspomnieć o niezapomnianym *bałaku* lwowskim i stryjskim, który również przewija się w niektórych artykułach czasopisma wrocławskich stryjan.

* * *

Wreszcie w Gliwicach w 1997 r. z inicjatywy niezwykle prężnego Oddziału Stryjan przy TMLiKPW, zaczęło ukazywać się czasopismo „**Z nurtem Stryja**”, jako czteromiesięcznik, młodszy brat Biuletynu wrocławskiego. Dotychczas ukazało się 8 zeszytów tego ciekawego i potrzebnego wydawnictwa, redagowanego przez zespół, kierowany ręką niestrudzonej Teresy Jastrzębiec-Olszańskiej, zarazem sekretarza Oddziału Stryjan w Gliwicach. Treścią czasopisma są wspomnienia, pamiętniki, poezja, dawne tradycje i zwyczaje stryjskie, kronika wydarzeń, historia dawna i najnowsza Stryja i Ziemi Stryjskiej, sylwetki zasłużonych i znanych stryjan, w tym kapłanów, wiadomości o dniu dzisiejszym Stryja, relacje z pielgrzymek i podróży, anegdoty itd. Tu znajdujemy właśnie najwięcej informacji o konkretnych potrzebach Polaków w Stryju, szczególnie parafii stryjskiej i skolskiej, kierowanych przez wspaniałego, młodego ks. Jana Nikła – rodem z Wilkowic w Beskidzie Śląskim. Artykuły zamieszczane są w cyklach tematycznych (dotąd było ich 21), każdy więc może zna-

leżć w czasopiśmie coś dla siebie, chociaż stryjanie czytają je od deski do deski.

Trzeba zaznaczyć, że profile obu pism stryjskich różnią się od siebie i doskonale uzupełniają.

Wincenty Harmata

Wertując wydawnictwa

⇒ Wywiad udzielony przez prof. S.S. Nicieję ukazał się w „Rzeczpospolitej” 147/99, a przeprowadziła go Magdalena Bajer (Cokół i figury). Tematem jest wydana w ub. roku książka Profesora pt. *Łyczaków, dzielnica za Styksem* (pisaliśmy o niej w CL 1/99). Profesor przedstawia swoją „drogę do Lwowa”, która, jak pisze, *jest największą przygodą intelektualną mojego życia i jedną z największych moich miłości – myślę, że odwzajemnioną*. Mówiąc o swojej pracy, zauważa, że gdyby nie trafił do tysięcy lwowskich rodzin, do archiwów domowych – nie wyrwałby z zapomnienia setek niezwykle oryginalnych ludzi.

O roli Lwowa mówi: *U schyłku XIX wieku miasto osiągnęło swoje apogeum. Lwów miał kilka momentów w dziejach, kiedy stawał się wielki i ważny, jednak najważniejszy okres ja datuję na lata 1870–1914. Był wtedy stolicą autonomicznej Galicji i odgrywał niezwykle rolę w życiu, zatem i historii całej Polski. Gdy Polska utraciła Lwów po pierwszym rozbiorze, to było zapyziałe miasteczko, liczące mniej więcej 20 tysięcy mieszkańców z mało znaczącym uniwersytetem. I nagle, u schyłku XIX wieku, o uniwersytecie lwowskim staje się głośno w Europie, mającej setki uniwersytetów. Pojawiają się w nim nazwiska światowe: wielcy matematycy, wielcy filolodzy: Juliusz Kleiner, Antoni Józef Małeckie, prawnicy, wielcy lekarze, jak choćby Ludwik Rydygier, który przeprowadził pierwszą operację na otwartym żołądku, wielcy filozofowie, jak Kazimierz Twardowski, twórca szkoły filozoficznej, historycy: Ludwik Finkel, Karol Szajnocha, Szymon Askenazy, Michał Bobrzyński. Podobnie jest z Politechniką, podobnie jest z akademią rolniczą w Dublanach pod Lwowem – wszędzie mamy liczne środowiska ludzi o wielkim dorobku, o ciekawych osobowościach, wyrazistych i mocno zaznaczających się w życiu miasta. I da-*

lej: [...] ***Jak wyglądałaby odrodzona Rzeczpospolita, gdyby nie miała tych kadr wykształconych we Lwowie?*** [...] *Szczerze mówiąc, byłoby to wielkie nieszczęście, gdyby nie było, jak już mówiłem, okresu autonomii galicyjskiej i to owocuje do dzisiaj, choć Lwów od 60 lat nie należy do Polski.*

Magdalena Bajer zadaje w końcu profesorowi pytanie: *Jak długo będzie istnieć żywa legenda tego miasta [...]?* Nicieja jest optymistą. Zauważa, że *w ciągu 10 lat od zniesienia cenzury powstało ponad 300 książek o Lwowie*. W historii Lwowa jest *tak dużo materialnych pamiątek, zabytków najwyższej próby, którym na szczęście, już nie grozi zagłada* [my nie byłibyśmy takimi optymistami – przyp. redakcji], że *ciągle będziemy z tej skarbnicy czerpać*.

Podoba się nam to, co mówi prof. Nicieja, bo nasza redakcja od początku stara się rejestrować i przekazywać to, co czyniło ze Lwowa miasto szczególne. Choć są tacy historycy, którzy z gorliwością neofitów usiłują to wymazać z pamięci Polaków.

⇒ W „Dzienniku Polskim” 248/99 przeczytaliśmy rozmowę red. Włodzimierza Knapa z Jerzym Kozakiewiczem, b. ambasadorem RP w Kijowie (1993-96), pt. ***Trudne sąsiedztwo***. W rozmowie znalazło się kilka ustępów, które korespondują z naszymi przekonaniem, gdy chodzi o dość zauważalną różnicę postaw ze strony Polski i Ukrainy wobec partnera. Wyglądałoby na to, że Polska musi „chować do kieszeni” wszystkie wybryki tamtej strony (bo tak to „ustawił” min. Skubiszewski), ale Ukrainie na wzajemności nie zależy. Oto fragmenty wypowiedzi ambasadora, z zawodu historyka, dziś pracownika Instytutu Studiów Politycznych PAN:

[...] *Teza, że prawdziwie niepodległa Polska nie jest możliwa bez niepodległej Ukrainy, nie ma przecież dostatecznego potwierdzenia w naszym historycznym doświadczeniu. To raczej ładnie brzmiący slogan, ale zarazem pewne polityczne nadużycie, zwłaszcza że obecnie fakty przemawiają przeciwko temu. Po definitywnym akcesie naszego kraju do struktur Paktu Północnoatlantyckiego nasze bezpieczeństwo gwarantowane jest w inny sposób i przez inne mechanizmy i podmioty polityki międzynarodowej. [...] Oczywiście, istnienie państwa ukraińskiego jest dla nas*

wartością samą w sobie, bo np. uniemożliwia rekonstrukcję imperium rosyjskiego, ale chyba nie ma dziś bezpośredniej zależności między ukraińską państwowością a naszym bezpieczeństwem narodowym i bytem państwowym. [...]

Na pytanie redaktora, na ile Ukrainie potrzebny jest nasz kraj, Kozakiewicz odpowiada:

Wydaje się, że raczej tylko w niewielkim stopniu, niestety. Realizując „politykę paralelizmu”, zrobiliśmy od momentu proklamowania ukraińskiej niepodległości wiele, w tym także sporo politycznych gestów, które naszego ukraińskiego partnera powinny były przekonać o szczerości polskich intencji nawiązania bliższych stosunków sąsiedzkich. Ukraina – właściwie poza usiłowaniami wciągnięcia Polski w krąg swojego konfliktu z Rosją – nie chciała dostrzegać innych, ważnych dla siebie politycznych interesów w Warszawie. Polska zaś, jak i inne kraje Europy Środkowej, nie mogła i nie chciała dać się wciągnąć w konflikt pomiędzy Kijowem a Moskwą, co sprawiło, że Ukraina straciła do pewnego stopnia polityczne zainteresowanie naszym krajem. Zwłaszcza że Polska nie może udzielać Ukrainie takiego rodzaju pomocy, który jest dla Kijowa najbardziej pożądany – pomocy finansowej.

Na temat częstych spotkań prezydentów:

Spotkania prezydentów zawsze mają polityczne znaczenie, szczególnie w stosunkach sąsiedzkich. Nie one jednak – niestety – stanowią o jakości tych stosunków. Przeciwnie, powiedziałbym – może z pewną przesadą – że dzisiejszy stan stosunków polsko-ukraińskich to pasmo naszych spektakularnych porażek, zwłaszcza w sytuacji, gdy obie strony nazywają siebie partnerami strategicznymi i gdy prezydenci wyjawiają sobie osobiste sympatie, a nawet przyjaźń. Przypomnijmy jednak, że parlament ukraiński przez wiele lat odmawia ratyfikacji porozumienia o wspólnym [...] batalionie sił pokojowych. Drugą [z porażek] jest proklamowanie przez prezydenta Kuczmę 17 września ukraińskim świętem ogólnopaństwowym. Ukraina ma tego dnia świętować tzw. zjednoczenie ziem ukraińskich, co oznacza, że realizację tajnego protokołu traktatu Ribbentrop-Mołotow podniesiono do rangi święta państwowego.

Skandaliczna jest również bezradność polskich władz państwowych w sprawie rekonstrukcji Cmentarza Orłąt Lwowskich. Okazuje się, że ani zapisy polsko-ukraińskiego traktatu głównego, ani litera dziesiątków szczegółowych porozumień w tym względzie, ani wreszcie tylekroć deklarowana przyjaźń obu prezydentów i ich zapewnienia [...] – nie są wystarczającą obroną przed bezczelną samowolą lwowskich urzędników. Podobnie rzecz się ma z setkami zabytków kultury materialnej na Ukrainie, dworów, kościołów, zamków, klasztorów, bibliotek, galerii, parków, bezpowrotnie niszczących z powodu braku wspólnego programu ochrony, rekonstrukcji i zagospodarowania, lecz często właśnie jako niewygodne świadectwa minionej polskiej obecności na tych ziemiach. [...]

Dalej ambasador mówi o dramatycznej sytuacji mniejszości polskiej w państwie ukraińskim, dopuszczając podejrzenie, że rytuał wizyt [prezydentów] zakrywa być może rzeczywistą pustkę stosunków polsko-ukraińskich.

Na temat sytuacji społecznej w państwie ukraińskim:

[...] zapaść gospodarcza nie ułatwia procesów społecznych, w tym także tożsamościowych. Jednak groźniejszy wydaje się bardzo niski poziom świadomości politycznej ukraińskiego społeczeństwa, wynikający zwłaszcza z braku tradycji własnej państwowości i głębokiej sowietyzacji zachowań społecznych. Ukraińskie społeczeństwo uczestniczy w życiu wewnątrzpolitycznym w bardzo ograniczonym stopniu, a przeciętny Ukrainiec nie wie, po co mu ukraińska niepodległość, co z nią robić i do czego miałaby ona posłużyć. Innymi słowy ukraińskie społeczeństwo nie umie korzystać ani z własnej państwowości, ani z procedur demokratycznych. [...]

To zaledwie fragmenty wypowiedzi ambasadora Kozakiewicza, wybrane pod kątem naszego zainteresowania sprawami Lwowa i Małopolski Wschodniej oraz egzystencji tam Polaków.

⇒ W miesięczniku „Poznaj Świat” nr 8/99 znalazła się relacja z międzynarodowej konferencji, poświęconej problemom **ochrony zabytkowej zabudowy Lwowa**, wpisanej

na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO (głównie za sprawą strony polskiej – pisaliśmy o tym w CL 1/99). W auli Politechniki Lwowskiej – tej z obrazami Matejki – spotkali się przedstawiciele środowisk architektonicznych Lwowa, Wiednia i Grazu (widać, że Austriacy mają skłonności do *Ost-Galizien*) oraz Wrocławia (prof.prof. O. Czerner i T. Zipser, a ze strony PŚ red. A. Bajcar).

Miejscowi uczestnicy poinformowali o obłędnym w zamyśle planie urbanistycznym Lwowa, przygotowanym w czasach stalinowskich. Miał on gruntownie zmienić charakter miasta, nadając mu sowiecką fizjonomię kosztem historycznej zabudowy. Na szczęście nie doczekał się realizacji.

My zadalibyśmy dwa pytania: czy nad tym planem koncepcyjnie pracowali sami Rosjanie? I – jak traktować systematyczne zacieranie (w chwili obecnej) historycznego oblicza zabytkowego cmentarza Łyczakowskiego, zamienionego wszak na muzeum?

W tym samym piśmie firma turystyczna z Przemyśla reklamuje wycieczki w Czarnohorę i Gorgany.

⇒ Tom LXVI *Studiów i Materiałów z Historii Kultury Materialnej* (Wydawnictwo Insty-

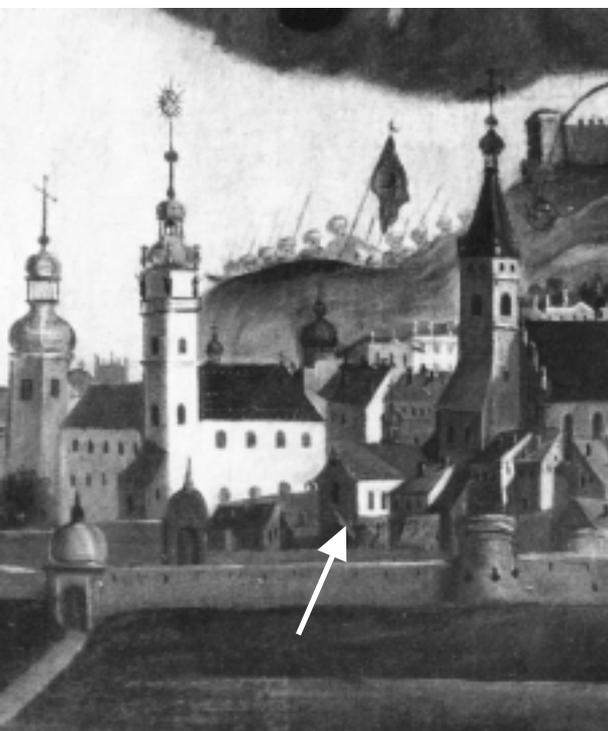
tutu Archeologii i Etnologii PAN, Warszawa 1998) pt. *Szpitalnictwo w dawnej Polsce* – zbiór artykułów pod red. M. Dąbrowskiej i Jerzego Kruppe – zawiera opracowanie Oksany Denys: **Szpital Świętego Ducha we Lwowie**. Wiemy, gdzie ten najstarszy szpital lwowski stał: została po nim nazwa placu św. Ducha przy Wałach Hetmańskich (obecnie jakoś inaczej się nazywa, ale to nieważne), brakowało natomiast bliższych danych o dokładnym umiejscowieniu i strukturze obiektu. Szczęśliwym trafem, gdy wykonywano jakieś rozkopy na tym placu, natrafiono na fundamenty i resztki murów budynku szpitala i związanego z nim kościółka św. Elżbiety. Szpital powstał w kazimierzowskim Lwowie w średniowieczu (koniec XIV w.), a w 1780 r. zawalił się, kościół rozebrano, majątek zaś przekazano nowszemu szpitalowi św. Łazarza. Na części terenu należącego do szpitala już wcześniej zbudowano kościół i kolegium Jezuitów (które było pierwszym uniwersytetem lwowskim). Badaniami archeologiczno-architektonicznymi pozostałości szpitala kierował **dr Witold Aulich** z Instytutu Nauk Społecznych Akademii Nauk we Lwowie. Przy okazji natrafiono na inne jeszcze znalezisko: kamienny kartusz z herbem Lwowa z 1608 r. (najstarszy z dotychczas odnalezionych kartuszy).

W innych artykułach, omawiających ogólnie dawne szpitalnictwo polskie, wielokrotnie pada nazwa Lwowa i innych miast wschodniomałopolskich.

Książka dostępna w księgarniach o profilu naukowym

Na marginesie: piszący te słowa już od dawna „zbiera się” do opracowania historii szpitalnictwa lwowskiego i wschodniomałopolskiego, na przeszkodzie jednak ciągle stoi brak czasu. A może ktoś inny to już uczynił?

Stefan Sochaniewicz



Widok Lwowa z końca XVIII w. Strzałką wskazano kościółek św. Elżbiety i zabudowania szpitala św. Ducha wokół niego. Obok, po lewej, kościół Jezuitów.



Listy do redakcji

Pan Andrzej Konoplicki, zamieszkały w Poznaniu, wytknął nam trzy istotne błędy rzeczowe w nrze S/99, które prostujemy dla porządku w erracie. A oto list p. Andrzeja, dający szersze wyjaśnienia (z nieznacznymi skrótami):

Czytając ostatni, jak zwykle bardzo interesujący, numer S/99, stwierdziłem niezgodności, które, jak sądzę, warto sprostować [w punkcie 1. mowa o antyhitlerowskiej sztuce Hemara „Orzeł czy rzeszka” oraz o generałowej Fabrycowej, żonie dowódcy Armii Karpaty w 1939 r., Kazimierza Fabrycego]. W punkcie 2. listu: Góra Kortumowa i Góra Stracenia to dwa całkowicie różne obiekty, choć oba znajdują się rzeczywiście na obszarze Kleparowa. Na południowym stoku Kortumowej Góry znajduje się cmentarz Janowski. Góra Stracenia leży pomiędzy ulicami Kleparowską, Tercjarską i Złotą (według przedwojennego nazewnictwa).

Bardzo za to dziękujemy i prosimy o dalszą uwagę. Na usprawiedliwienie: nasze pokolenie (roczniki 30. i późniejsze) zna Lwów dość pobieżnie, zwłaszcza inne dzielnice niż te, w których się mieszkało, stąd błędy i niedokładności. Podobnie z innymi miejscowościami. Co ciekawe i smutne – Polacy mieszkający obecnie po tamtej stronie nie tylko nie znają przedwojennego Lwowa (co może zrozumiałe), ale nawet geografii swojego regionu. Polak w Stanisławowie, pytany – w czasie wycieczki w gó-

ry – o Czarnohorę i Gorgany, nie rozumiał, o co chodzi. To są Karpaty, proszę pana – wyjaśnił. Dlatego wspólnie ratujemy co się da i przekazujemy to młodszemu.

Bardzo ciekawy list – wraz z książką, omówioną w poprzednim numerze CL – otrzymaliśmy od pana Józefa Wiktora z Kłodzka. Oto fragmenty:

... ja jestem dumny, że mieszkałem we Lwowie przy ulicy Kadeckiej, inaczej mówiąc byliśmy przecież sąsiadami [list jest adresowany do A. Chlipalskiego]. Jak wiele nurtuje mnie wspomnień z przeszłości, wrażeń, których doświadczyłem w czasie i po wojnie, mieszkając na Górze Kadeckiej – ul. Kadecka 6, do roku 1957. [...] Można by snuć wiele opowieści na temat swojego życia – mojego życia osobistego i sąsiadów, i historii naszej ulicy. A czy pamięta Pan, że ta ulica w 1938 roku otrzymała miano peowiaków – była uroczystość, święcenie... [...]

A może by opracować i wydać w przyszłości historię Górki Kadeckiej (ul. Kadecka, Wulecka, Pełczyńska, Kosynierska, Pochyła, Abrahamowiczów, wzgórze Pełczyńskie i Wuleckie itd.) – architektura, mieszkańcy, historia. Śp. dr inż. Zbigniew Schneigert dawno temu przysłał mi trochę informacji o ulicy Kadeckiej, mógłbym Panu wysłać to do Krakowa. Sądzę, że dziś taki materiał historyczny, dotyczący przecież historii Lwowa, może być cenny – to dokument. [...]

Drogi Panie Józefie – to znakomity pomysł, ale czy znajdziemy ludzi, którzy by aż taki szmat miasta potrafili opisać? Bo jeśli taki zakres, jaki Pan proponuje, to jeszcze byłyby ulice Herburtów, Skibińskiego, Dylewskich, nowe uliczki za cmentarzem Stryjskim, a nawet Obertyńska. Zaczniemy więc od jednej – właśnie Kadeckiej. Przyznam

PROŚBA do dawnych mieszkańców Kadeckiej Góry, Wulki i otaczających je ulic!

Prosimy o nadsyłanie wspomnień, fotografii i wszelkich materiałów, dotyczących tej części przedwojennego (a może i wojennego) Lwowa. Wspólnie z panem Józefem Wiktorem z Kłodzka zmierzamy skompletować rodzaj *monografii* tej pięknej okolicy miasta. Szczegóły wyżej.

się, że mam jej opis i zdjęcia wszystkich domów (zrobiłem to 8–10 lat temu, ze szczególnym uwzględnieniem kamienicy nr 28). Moja propozycja: poślę to Panu do przejrzania, ewent. skorygowania i uzupełnienia o Pana materiały i dra Schneigerta. Równocześnie zwracamy się do wszystkich byłych mieszkańców wymienionych ulic – apel poniżej. Przy okazji osobiste wspomnienie: w 1968 r. byłem we Lwowie „przyczepiony” do grupy młodzieży z jednej z krakowskich uczelni. Oprawdzała nas Rosjanka, której zwierzyłem się, że jestem lwowianinem. – *A na jakiej ulicy wy mieszkali?* – zapytała. Wymieniłem Kadecką, czyli „Gwardiejską”. – *A, eto arystokraczeskaja ulica!* – poinformowała mnie przewodniczka. Oczywiście ta szczególna „arystokratyczność” dotyczyła raczej czasów sowieckich, bo przed wojną mieszkali tam zwykli ludzie. A swoją drogą, to piękna ulica, i nie dziw, że sowieccy prominenci tam się pchali.

A oto list pani Anny Marii Ostrowskiej z Warszawy, który odnosi się do naszego omówienia ukraińsko-angielskiego przewodnika po Lwowie, o którym pisaliśmy w CL 3/99:

W pełni zgadzam się z wypowiedzią Pana Redaktora [...] dotyczącą prawdy historycznej, której nie wolno zakłamywać, bo i po co? W Europie nikt tego nie czyni. Przykład: tego lata [1999] byłem w Czechach i zwiedzałam m.in. wspaniałe zamki Wranow nad Dyją, dawniej nazywany

po austriacku Frain (leży blisko Wiednia, ale odcięty od niego granicą czesko-austriacką). Właścicielami tego zamku od wieków średnich były rody rycerskie o nazwiskach brzmiących po niemiecku, a od początku wieku XIX był on w rękach Polaków: najpierw rodu Mnischów, potem, aż do drugiej wojny hrabiów Stadnickich. I wcale nikt tego nie ukrywa. W kolosalnym zamku nie brakuje polskich pamiątek: widziałam herby na bramach, portrety itp. Warto tu przypomnieć, że gniazdem rodu Mnischów były Laszki Murowane w Samborskiem, a Stadnicy wywodzili się z ziemi przemyskiej. Do jednej gałęzi tej rodziny należały do ostatka Krysowice pod Mościskami (jednak właściciele Wranowa to inna gałąź – z Nawojowej w Sądeckiem).

Tak się również składa, że dwa lata temu byłam na Słowacji i zwiedzałam miasta blisko polskiej granicy, które tworzyły tzw. 13 Grodów Spiskich. Grody te były oddane w zastaw królom polskim przez cesarza niemieckiego (za pożyczanie mu pieniędzy, których nigdy nie zwrócił) i w polskich rękach trwały aż do rozbiorów. W imieniu naszych królów zarządzał nimi ród Lubomirskich. Tam też nikt nie mówi o „polskiej okupacji”, o „polskich panach”, „ciemieżcach” lub tp., w czym celowali Sowietci, a teraz ich spadkobiercy.

Dziękujemy Pani Annie Marii. Przyjemnie usłyszeć, że nasi południowi sąsiedzi są cywilizowani.

Archiwum

Z krakowskiego „Dziennika Polskiego” przepisujemy bardzo trafne spostrzeżenie, zapisane przez Macieja Radwan-Rybińskiego:

ZADOŚĆCZYNIENIE

Prezydent Clinton i kanclerz Schröder zawarli ugodę, wedle której na odszkodowanie dla robotników przymusowych, wywiezionych do III Rzeszy, przeznaczonych zostanie 10 miliardów marek. Osoby wywiezione w tym samym okresie na Sybir mogą liczyć na kawałek drutu z parasola atomowego Rosji, o którym tak dużo się ostatnio mówi w Moskwie.

Dodajmy, że ludzie wywiezieni na nieludzką ziemię pochodzili w większości z Ziemi Wschodnich. Utracili więc w dodatku cały dobytek swój i swoich rodzin, a nie-mała ich część wegetuje dziś w upadłych PGR-ach na Ziemiach Zachodnich.

LUDZIE W CRACOVIA-LEOPOLIS (2)

W CL 4/98 zamieściliśmy listę nazwisk osób, o których informacje biograficzne zostały zamieszczone w rocznikach 1995-98. Poniżej kolejna lista – z rocznika 1999. Podobnie jak poprzednio tłustym drukiem wyróżniliśmy osoby, o których napisano całe artykuły (w tym *Sylwetki* i wywiady), a drukiem zwykłym notki biograficzne i okazjonalne wzmianki (także w przypisach do artykułów, o ile zawierają dane biograficzne).

Badeni Stanisław Henryk	3/99	Malik Zenon	S/99
Balzer Oswald	3/99	Małecki Eugeniusz	1/99
Barmiński (Barabasz) Zygmunt	2/99	Martyniak Zbigniew	1/99
Batowski Aleksander	S/99	Masalska Irena	4/99
Batowski Henryk	2/99	Mączyński Kazimierz	2/99
Baworowski Wiktor	3/99	Modrzejewska Helena	3/99
Biegeleisen-Żelazowski Bronisław	1/99	Nechay-Lempart Ewa	S/99
Bieńkowski Stanisław	1/99	Oleska (Misky) Helena	3/99
Chwalibogowska Alina	2/99	Oparowska Janina	3/99
Czartoryska Wanda	3/99	Orkisz Henryk	1/99
Czuchajowski Bolesław	S/99	Pakosz Teresa	4/99
Dutkiewicz (Kulikowicz) Teresa	4/99	Piotrowska Mieczysława	2/99
Grzegocka Krystyna	4/99	Psarski Władysław	S/99
Gumińska Maria	3/99	Rolle Karol	2/99
Hausner, rodzina	1/99, 3/99	Rother Aleksander	1/99
Hausner Otto	3/99	Rudnicki Klemens	S/99
Hausner Wojciech	1/99	Schneigert Zbigniew	2/99
Kasprzysiak Ireneusz	2/99	Szałęga Marcjanna	3/99
Kołodziej, rodzina	S/99	Szocki Józef	3/99
Komornicka Wanda	S/99	Tyson Jan	4/99
Kowalczuk Jerzy	1/99	Weigner Stanisław	1/99
Krzyżewski Tadeusz	1/99	Zator-Przytocki Józef	S/99
Madeyski Jerzy	3/99		

Kronika towarzyska

Serdeczne gratulacje i życzenia składamy:

Państwu **BOGDANOWI I ELŻBIECIE TYROWICZOM** z okazji zawarcia związku małżeńskiego. Ślub odbył się 4 września 1999 r. w kościele ss. Prezentek w Krakowie.

Pan młody jest prawnikiem Ludwika Tyrowicza, właściciela znanej firmy rzeźbiarsko-kamieniarskiej z ul. Piekarskiej 95 we Lwowie. Na ślub zjechało wielu członków rodziny Ty-

rowiczów z całej Polski. *Sylwetkę* tej zasłużonej dla Lwowa rodziny przedstawimy w jednym z następnym numerów CL.

Państwu **ALEKSANDROWI I AGNIESZCE CHMIELOW** z okazji zawarcia związku małżeńskiego. Ślub odbył się 15 stycznia 2000 r. w kościele oo. Dominikanów w Krakowie.

Olek jest synem Pani Emilii Chmielowej, prezesa Federacji Organizacji Polskich, Lwów/Kijów.

Państwu **ZBOROWSKIM**, z okazji narodzin syna **JANA**.

W następnym numerze:

Czy łatwo być Polakiem w Kościele na Wschodzie? ❖ Matka Boska Sokalska ❖ Rozmowy z księdzem i z profesorem ❖ o szybowcach ❖ o twórcy gmachu Uniwersytetu Lwowskiego ❖ o twórcy słynnych kursów ziemiańskich

Niniejszy numer CRACOVIA–LEOPOLIS został wydany przy pomocy finansowej Departamentu Edukacji i Kultury Urzędu Marszałkowskiego w Krakowie

Redakcja składa podziękowanie w imieniu własnym i Czytelników

ERRATA

Na trzy błędy w nrze S/99 zwrócił nam uwagę p. Andrzej Konoplicki (patrz listy):

● na s. 15 – wstęp, wiersz 5 od góry: tytuł sztuki Hemara brzmiał **Orzeł czy rzeszka**, a nie *Orzeł czy reszka*. Ta parafraza ma oczywiście swój sens;

● na s. 59 dwukrotnie przywołuje się osobę generałowej **Fabrycowej** (żony gen. Kazimierza Fabrycego), mylnie napisane *Fabryowa* (tak jednak napisał autor listu, a my nie zwróciliśmy uwagi!);

● w *Słowniku* – hasło *Kleparów* – na s. 14–16 podano nieprawdziwie, że **Góra Stracenia** jest tożsama z **Górami Kortumową** – a tak nie jest. Są to osobne jednostki topograficzne.

W CL 4/99 pominęliśmy opisanie fotografii na okładce, bo byliśmy przekonani, że każdy rozpozna najbardziej charakterystyczną fasadę **Ossolineum**, wykorzystaną zresztą jako *logo* tej instytucji. Niestety, dla części Czytelników nie było to oczywiste. Przy okazji informujemy, że to, co widzimy na zdjęciu, było kiedyś kościołem ss. Karmelitanek *trzewiczkowych*, zlikwidowanym przez Austriaków po I rozbiorze. Zniszczony pożarem kościół i klasztor zakupił J.M. Ossoliński i umieścił tam swoje zbiory biblioteczne.

Za błędy przepraszamy Czytelników.

Na I stronie okładki: poeta Franciszek Karpiński (1741–1825)

Czasopismo Oddziału Krakowskiego
Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

Redaguje zespół: Andrzej Chlipalski (redaktor naczelny), Barbara Kościak, Janusz M. Paluch

Opracowanie graficzne: Bohdan Prądyński. Skład: FALL-Studio, Kraków

Rada Redakcyjna: Andrzej Chlipalski, Barbara Czałczyńska, Barbara Kościak, Romana Machowska, Janusz M. Paluch, Krystyna Stafińska, Irena Suchanek, Maria Taszycka, Marta Walczewska, Jacek Walczewski

Adres redakcji: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich,
31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i adiacji nadesłanych materiałów, a także wprowadzania śródtytułów. Artykułów nie zamówionych redakcja nie zwraca.

Copyright by Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Krakowie

Druk: Poligrafia Kurii Prowincjalnej Zakonu Pijarów, 31-015 Kraków, ul. Pijarska 2

Oddział krakowski TMLiKPW oraz Redakcja „Cracovia Leopolis” wydały pocztówkę z 22 herbami miast wschodniomałopolskich (3 wojewódzkich i 20 powiatowych).

Są to:

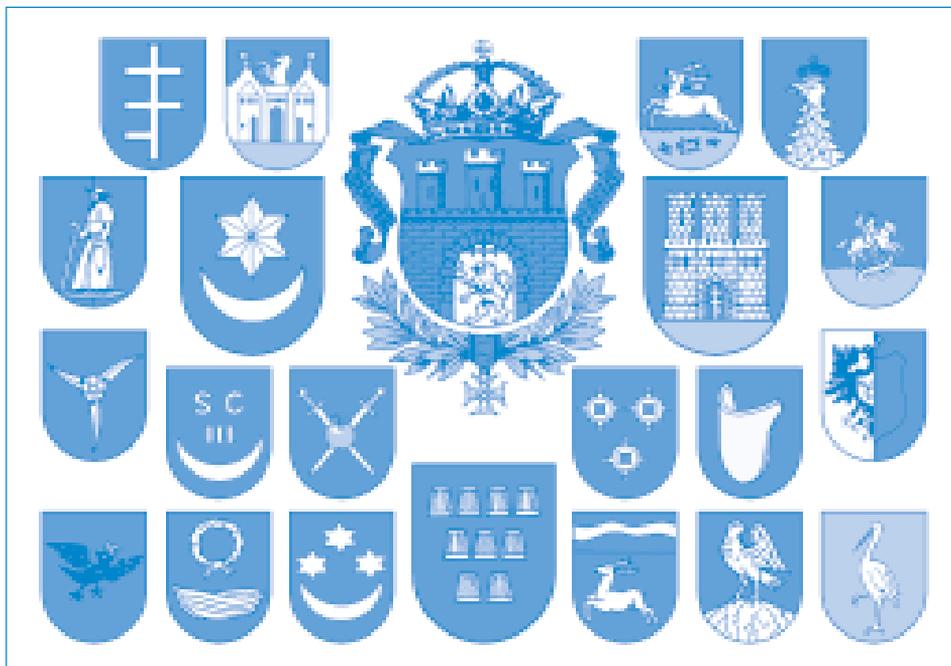
I rząd: Brody i Buczacz (ten sam herb), Zaleszczyki, Sambor, Kołomyja;

II: Stryj, Tarnopol, Lwów, Stanisławów, Zbaraż;

III: Czortków, Kałusz, Dobromil, Kamionka Strumiłowa, Złoczów, Żółkiew;

IV: Halicz, Jaworów, Trembowla, Drohobycz, Brzeżany, Sokal, Busk.

Rysunki herbów opracował Bohdan Prądkyński



Kartki można zamawiać w Zarządzie Oddziału Krakowskiego TMLiKPW,
31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 23, „Sokół”



Chcielibyśmy wydać drugą pocztówkę z herbami pozostałych 21 miast powiatowych, ale herby te nie są nam znane. Prosimy o pomoc naszych Czytelników, o nadesłanie wzorów wg poniższej listy. Chodzi oczywiście zarówno o wygląd herbu, jak i zastosowane w nim kolory: Borszczów, Bóbrka, Dolina, Gródek Jagielloński, Horodenka, Kopyczyńce, Kosów, Mościska, Nadwórna, Podhajce, Przemyślany, Radziechów, Rawa Ruska, Rohatyn, Rudki, Skałat, Śniatyn, Tłumacz, Turka, Zborów, Żydaczów.

Spis treści

Słowo od redakcji	Stanisław Kwaśniewski	
GOŚCIMY NA ZIEMI STANISŁAWOWSKIEJ •	WSPOMNIENIE O PRZYJACIELU	38
Barbara Czaczyńska	II	
FELIETON O POCHODZENIU	1	
Helena Konopkova		
DZIESIĘĆ POWODÓW ŻEBY KOCHAĆ STANISŁAWÓW	2	
Leszek Wierzejski		
OD STANISŁAWA POTOCKIEGO DO STANISŁAWA SOSABOWSKIEGO	3	
Krzysztof Broński		
NARODZINY NOWOCZESNEGO STANISŁAWOWA	5	
Adam J. Chowaniec		
A JEDNAK STANISŁAWÓW	10	
Wincenty Harmata		
STAROSTA W TRZECH POWIATACH	14	
Rozmowy		
Krzysztof Stafińska		
ROZMOWA Z PROF. MARIĄ JORDAN	18	
Maria Jordan		
ANEGDOTA	20	
NOSIA	21	
Poezja		
Bogusław Żurakowski	22	
STANISŁAWÓW. MGŁA		
Maria Klara Bohomolec		
POETA POWSTANIEC	23	
Maria Jordan		
WAKACJE NAD PRUTEM	26	
Proza		
Ks. Lesław Jezowski		
NIGDY NIEZAPOMNIANE CHWILE	31	
Ewa Lempart		
PRZYSZLI PO NAS (3)	34	
Sylwetki		
Kazimierz Międzobrodzki		
STANISŁAWOWSKIE LATA GENERAŁA SOSABOWSKIEGO	36	
	HOŁOSKÓW ♦ KOCHAWINA ♦ ŁYSIEC ♦ OTYNIA ♦ RUDA ♦ ZAŁOCE (uzup.) ♦ SPIS HASEŁ SŁOWNIKA ZAMIESZCZONYCH W ROCZNIKU 1999	37
	Z tamtej strony ZNOWU FAŁSZ	39
	WYDARZENIA	40
	Polacy z Polakami DO ZAPAMIĘTANIA	40
	W Krakowie i dalej Konrad Sura	
	DZIEŃ POLSKIEGO PAŃSTWA PODZIEMNEGO	41
	NOTATKI	44
	Archiwum	
	Z ZACHODEM PEWNIEJ	42
	ZADOŚCUCZYNIENIE	54
	Kultura ♦ Nauka	
	Maria K. Bohomolec	
	O „ORGANUM” NIESKOŃCZENIE	46
	Kazimierz Selda	
	DZIEJE KOŚCIOŁA LWOWSKIEGO	46
	KRONIKA	47
	Książki ♦ Czasopisma	
	Stefan S. Łukowski	
	NOWE KSIĄŻKI	49
	Wincenty Harmata	
	CZASOPISMA STRYJSKIE	52
	Stefan Sochaniewicz	
	WERTUJĄC WYDAWNICTWA	54
	Listy	57
	ŁUDZIE W CRACOVIA-LEOPOLIS (2)	59